



Cena 80 groszy

Nr. 18 (174)

T Y G O D N I K

Warszawa, Niedziela 1 maja 1927 r.

Oddział

„Wiadomości Literackie”

w Paryżu, 123, boul. St.
Germain, Księgarnia
Gebethnera i WolffaCena numeru w Paryżu
zł. 1.—

Rok IV

ROMAN DYBOSKI

CZEM JEST CHESTERTON?

Chesterton, o trzydziestu blisko lat pisać bez przerwy, szybko i obficie, dziś, w wieku lat pięćdziesięciu trzech, jako pisarz o światowej sławie i znanej całemu światu fizjonomii duchowej, jednak nie przestaje być zjawiskiem literackim, które w żadną z przyjętych kategorii się włożyć nie da. Historycy literatury, dzieląc sobie swój materiał według rodzajów, z rozpaczają wobec tej postaci, zmuszeni twórczość Chestertona przy całej sile jej jednolitości rozwać po wszystkich rozdziałach swych książek¹⁾.

Poeta jest Chesterton niewątpliwie, i to niepospolitym. Rozpoczął swą karierę tomikiem „Obłąkany rycerz i inne poezje” (1900). Później w „Balladzie o białym koniu” stworzył jedyny może od czasów Tennysona, Browninga i Swinburne’a dłuższy poemat opowiadający, który dzisiejszego czytelnika może naprawdę pociągać; wskrzesił, jak może nikt od Scotta, wspaniały galop rytmiczny i krewki furor poetycki starych ballad angielskich i szkockich ludowych. W ciężkich dniach wojny przypominał się rodakom jako śpiewak przez pełne uroczej spontaniczności rymy „Wino, woda i pieśń” (początkowo ogłoszone jako wstawki w powieści „Latająca gospoda”). Po wojnie w „Balladzie o św. Barbarze i innych wierszach” dał znowu garść liryków o świetnym impetie, wśród nich kilka z najgłębiej pomysłowych i najgłębiej wzruszających nagrobków poetyckich dla „nieznanej żołnierza”, tego wielkiego bohatera wojny światowej. Świeżo znowu wyszedł zbiór wierszy religijnych o Matce Boskiej p. t. „Królowa Siedmiu Mieczów”.

Bezspornie niektóre z najznakomitszych i najtrwalszych rzeczy, jakie Chesterton napisał, znajdują się wśród jego poezji. Za sam jeden króciutki wierszyk o osiołku, co wśród wzgardliwych przypomina sobie pocichu triumfalną chwilę wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, — albo za grzmiącą balladę o zwycięstwie morskim Don Juana d’Austrii nad Turkami pod Lepanto, — należy się poezji Chestertona miejsce w każdej antologii angielskiej.

Mimo to jednak określenie „poeta” z pewnością nie będzie pierwsze, jakie się nam nasunie, gdy go zechcemy zdefiniować. Nietylko dlatego, że lwia część jego dorobku stanowią utwory prozą. Ale przede wszystkim dlatego, że w samej jego poezji zbyt silny, jak na poezję w zwykłym znaczeniu słowa, jest związek z chwilą, — z okolicznościami społecznymi i politycznymi, co ją natchnęły. Doskonałe wiersze satyryczne przeciwko niedorzecznościom w okolicznościach ministerstwa oświecenia, w mowach parlamentarnych lub wiecowych tego czy owego polityka, w artykule tego czy owego dziennika, w manifestie tego czy owego stowarzyszenia, — przewijają się wciąż wśród poezji o tematach ogólniejszych. Nawet w jednym z wierszy na cześć poległych nie może sobie autor odmówić porównania ich z żywymi, którzy w pe-

tach lichwy i wszelkich innych nieprawości powojennych bardziej są martwi od nich²⁾. Do jednego z tych bohaterów wolał, by raczej już ze snu swego się nie budził i zapomniał o tej Anglii, która w swej zgniliznie kramarskiej zapominała o nim i jemu podobnych³⁾. A w najambitniejszym ze swych utworów poetyckich, „Balladzie o białym koniu”, Chesterton temat walki króla Alfreda Wielkiego z pogańskimi najezdnikami ze Skandynawii uczynił symbolem walki starych walorów kultury chrześcijańskiej przeciw zalewowi przez pseudonaukowy materialistyczny dogmatyzm i antyreligijny indyferentyzm (czyli, jak w Anglii mówiono, „agnostycyzm”) XIX w.

Jeżeli więc nie poeta, to powieściopisarz, powieściopisarz? Czyli, jak w Anglii mówiono, „agnostycyzm”) XIX w. Jeżeli więc nie poeta, to powieściopisarz, powieściopisarz? Czyli, jak w Anglii mówiono, „agnostycyzm”) XIX w. Jeżeli więc nie poeta, to powieściopisarz, powieściopisarz? Czyli, jak w Anglii mówiono, „agnostycyzm”) XIX w.

Wszystkie te książki trykają się dickensowskim humorem i realizmem w przedstawieniu rdzennie angielskiego środowiska. Ale, jak już wynika z powyższych krótkich wzmianek o głównych motywach ich treści, co krok tu z twardego bruku ulic czy gościńców angielskich ulatujemy w krainy nieprawdopodobieństw tak gigantycznie napiętrzonych, jak to tylko w bardzo dziwacznych snach albo w baśniach wschodnich zdarzać się może. I. zw. „powieści” Chestertona są tak pełne najfantastyczniejszych ekstrawagancji, satyrycznych alegorii i polemicznych ekskursów, że jako zwykłe nowoczesnej strawy powieściowej czytelnik dzisiejszy ich tak samo przyjąć nie może, jak — powiedzmy — klasycznych „Podróży Gullivera” Swifta. I tak samo jak latająca wyspę matematyków czy akademię projektomanów, czy wreszcie same królestwa karłów, olbrzymów lub cnotliwych koni u Swifta, tak i żartobliwe fantasmagorie Chestertona zrozumieć należyć można właściwie tylko, gdy się zna same też zjawiska w bieżącym życiu społecznym Anglii i świata, które autor bierze za tarczę do strzału swego nieporównanego dowcipu.

Jak te powieści nie są właściwymi powieściami, tak właściwa sztuka teatralna nie jest — również z powodu fantastycznej treści i swywolnej struktury — jedyną komedią Chestertona „Czary” („Magic”), choć znamienity miała sukces, gdy ją w kilka lat po wojnie wprowadzono na deskę teatru. Kaniworem dla tłumy według znanego określenia Hamleta musi jednak dla zwykłego audytorium teatralnego dzisiejszego pozostać sztuka, której bohaterka wierzy w elfy, a bohater, czarnoksiężnik, przyznaje się do stosunków z diabłem. Znowo oczywiście chodzi nie o stworzenie utworu literackiego o pewnym określeniu przez tradycję typie, lecz o dowcipną szermierkę przeciw apodyktycznej pewnością siebie trzęsącego człowieka nauki czy interesu.

Próbujmy więc wymyślić sobie definicję autora uchwycić z innej strony. Jest niezawodnie świetnym krytykiem literackim i napisał długi szereg znakomitych przyczynków do historii literatury. Ulubiony jego okres to XIX: jest autorem dwu znakomitych książek o Dickensie, świat-

nej monografii o Robercie Browningu, studiów o pisarzach tak rozmaitych, jak Carlyle i Tennyson, Thackeray i Matthew Arnold. Wreszcie dał także syntezę swoich poglądów na całą epokę wiktoriańską w tomiku doskonałej serii „Doma Biblioteka Uniwersytecka” („The Home University Library”).

Jeżeli jednak zgodzimy się na to, że- by Chestertoną ze względu na główną masę jego twórczości i na górujące jej cechy określić jako essayistę, to stąd krok już tylko do tego, by jeszcze właściwiej po imieniu nazwać ten osobliwy fakt w biologii literatury, któremu na imię Gilbert Keith Chesterton. Essay- istyka — to wszakże nic innego jak



G. K. CHESTERTON

Ale żałowaćby wypadało tego studenta literatury angielskiej, któryby z tej i innych jego książek chciał się uczyć do egzaminu. Znowu od pierwszej chwili jest rzeczą oczywistą, że nie o literaturę jako taką, a przynajmniej nie przede wszystkim o nią, tutaj chodzi. Też książek o Dickensie jest twórcza potęga optymizmu i zbawcza mądrość humoru, nawet karykaturalnego. Estetycyzm Williama Morrisa służy jako przykład, by wykazać płytkość i niewystarczalsność religii piękna. Konwulsyjna walka tetrycznego Carlyle’a o stworzenie z opornego materiału zwartej konsekwentnej filozofii życia i dziełowi daje wyborną sposobność do frontowego ataku humorysty na fanatyzm logiki i bałwochwalstwa konsekwencji. Staroświecka technika powieściopisarzy o romantycznej umysłowości, jak Karolina Brontë lub R. L. Stevenson, do- znaje skwapliwej obrony w myśl zasady, że akcesoria mogą podlegać krytyce, ale w istotnych rzeczach romantyk ma słuszo- ść. To jest duch jego poezji, „biała kre- da”, wzniesienie wiary w życie i w człowieka.

Zainteresowania Chestertona zatem, nawet gdy o literaturę pisze, zawsze wy- chodzą daleko poza literaturę. Może bę- dziemy bliżej ujęcia tego lotnego ducha w sieć słowną, gdy go zaliczymy do essayistów. Tylko do essayistów, tej tak wspaniale od trzech zgórą wieków rozrośniętej gałęzi piśmiennictwa angiel- skiego, zaliczyć można całą chmurę książek Chestertona o takich wysocy chara- kteryistycznych, a arcy-trudnych do przełumaczenia, zawsze żartobliwych ty- tułach, jak „Obrońca” („The Defen- dant”), „Proces fantazji przeciwko mo- dnyemu dziwactwom” („Fancies versus Fads”), „Zważywszy wszystko” („All Things Considered”), „Potężne drob- niażgi” („Tremendous Trifles”), „Hałasy i dywersje” („Alarms and Discursions”), „Pozytyk rozmaitości” („The Uses of Diversity”), lub stosunkowo najsystema- tyczniejszą „Co brakuje światu” („What’s Wrong with the World”).

Jak już widać z tych rozkosznych ty- tułów, są to wszystkie rozprawy z za- kresu tej wielkiej dziedzin wiedzy, którą Carlyle nazywał „nauką o rzec- chach wogóle” („the science of things in general”), lub stosunkowo najsystema- tyczniejszą „Co brakuje światu” („What’s Wrong with the World”).

Jeżeli jednak zgodzimy się na to, że- by Chestertoną ze względu na główną masę jego twórczości i na górujące jej cechy określić jako essayistę, to stąd krok już tylko do tego, by jeszcze właściwiej po imieniu nazwać ten osobliwy fakt w biologii literatury, któremu na imię Gilbert Keith Chesterton. Essay- istyka — to wszakże nic innego jak

Jeżeli jednak zgodzimy się na to, że- by Chestertoną ze względu na główną masę jego twórczości i na górujące jej cechy określić jako essayistę, to stąd krok już tylko do tego, by jeszcze właściwiej po imieniu nazwać ten osobliwy fakt w biologii literatury, któremu na imię Gilbert Keith Chesterton. Essay- istyka — to wszakże nic innego jak

Jeżeli jednak zgodzimy się na to, że- by Chestertoną ze względu na główną masę jego twórczości i na górujące jej cechy określić jako essayistę, to stąd krok już tylko do tego, by jeszcze właściwiej po imieniu nazwać ten osobliwy fakt w biologii literatury, któremu na imię Gilbert Keith Chesterton. Essay- istyka — to wszakże nic innego jak

Jeżeli jednak zgodzimy się na to, że- by Chestertoną ze względu na główną masę jego twórczości i na górujące jej cechy określić jako essayistę, to stąd krok już tylko do tego, by jeszcze właściwiej po imieniu nazwać ten osobliwy fakt w biologii literatury, któremu na imię Gilbert Keith Chesterton. Essay- istyka — to wszakże nic innego jak

Jeżeli jednak zgodzimy się na to, że- by Chestertoną ze względu na główną masę jego twórczości i na górujące jej cechy określić jako essayistę, to stąd krok już tylko do tego, by jeszcze właściwiej po imieniu nazwać ten osobliwy fakt w biologii literatury, któremu na imię Gilbert Keith Chesterton. Essay- istyka — to wszakże nic innego jak

mików rzuca z tych wysokości współcze- snemu światu?

I tu zrazu równie trudno znaleźć od- powiedź, jak przy szukaniu określenia Chestertona jako pisarza.

Trudno przedewszystkiem dlatego, że bezustanna gra barw jego dowcipu czę- sto dochodzi do granic bezcelowej zaba- wy. Niewątpliwie manjerą już nazwać trzeba styl takich igraszek, jak owe nie- dawne „Tales of the Long Bow” (1925), w których żart wciąż na nowo polega na tem, iż przedsięwzięcia przyszłowiwo nie- możliwe — jak „zjeść swój kapelus”, „podpaść Tamizę”, „uczyć świnię la- tać” — są z całym rozmachem trakto- wane dosłownie, ad maiorem gloriam romantycznej prawdy iluzji przeciw trzętemu fałszowi codziennej rzeczywi- stości.

Ale to tylko wyjątkowe momenty przesady. W rzeczywistości Chesterton jest jakoś ów żongler - wojownik Taille- ler, co, śpiewając dumę o Rolandzie i bawąc się podrzucaniem miecza, jechał w śmiertelny bój pod Hastings. Chesterton we wszystkim, co tak żartobliwie pisze, niemniej stale poważne ma myśli i cele, jak drugi najniestrudniejszy kpiarz Bernard Shaw, o którym Chesterton wła- śnie tak wnikliwie napisał książkę.

Drugim źródłem trudności — to nie- tylko gadki i kuglarstwa Taillelera, ale sama już jego wojowniczość. O co się bić może, kto tak walczy ze wszystkim? Nienawidzi socjalizmu, ale przeklina kapitalizm; nienawidzi także imperia- lizmu, ale niemniej wstrętne mu są fraze- sy internacjonalizmu. Czyż nie jest pe- symistą z gruntu, kto w swej uprzedmio- wionej ojczyźnie tak stanowczo widzi piekło, że nie życzy poległym na wojnie, by mogli z grobów powstać i na nią spoglądać? Czyż może kochać Anglię, kto tak wciąż złorzeczy jej bankiersko- lichwiarskiej cywilizacji? Wszakże to Chesterton w czasie największej popu- larności szowinistycznych uniesień Ki- plinga rozpoczynał swą karierę pisarską pod znakiem protestu przeciw okrucie- stwom popełnianym na Boerach. Wszak- że on w pierwszym roku wojny świa- towej, gdy ze strony niemieckiej rozległo się hasło „Gott strafe England!” — w sensacyjnej książce „Zbrodnie Anglii” („The Crimes of England”) napiętnował imperialistyczne grzechy Wielkiej Bry- tanji sam jak najdobitniej, nie szczędząc szczególnie jaskrawych słów potępienia polityce angielskiej w Irlandii.

Ale tego zawziętego czarnowidza zna- my przecież skądinąd jako najstonecz- niejszego optymistę, jaki zajaśniał w li- teraturze angielskiej od czasów Dickensa. Ten wróg imperializmu kocha do bałwochwalstwa piękna, zieloną starą Anglię w idyllicznej krasie jej sielskiej przyrody, kocha do zapamiętania jej dzieł lud i śpiewa hymn osobny na cześć milczących bohaterów jego hi- storii. Corruptio optimi pessima: to za- sadada, co każe mu narzekać na „zmie- nienie Anglii” w ostatnich dwóch stu- leciach, co każe mu lżyć kupców-hur- towników, fabrykantów, a wielbić stare karczmy, chłopskie folwarki i rzemieś- lnice warsztaty.

Chesterton socjalistą nie jest; ale go- ręcej od niejednego socjalisty ukołoch- cierpiące, upośledzone masy, i radykal- niejsze od socjalistów zaleca środki spo- łecznego zbawienia w tych czasopismach „New Witness” i „G. K.’s Weekly”, któ- rych kolejno jest duszą. „Dziś możemy uniknąć socjalizmu tylko przez przemianę równie ogromną, jak sam socjalizm. Jeżeli mamy uratować własność, musimy na nowo rozdzielić własność, prawie tak srogo i doradnie jak rewolucja francu- ska”. Oto słowa z jednej z typowych jego książek⁴⁾.

Chesterton nie jest liberałem starego typu, bo liberalizm wszakże, ze swemi idealami nieograniczonej wolnej konku- rencji, doprowadził do potworności dzisiejszego kapitalizmu. Ale Chesterton ideał liberałów — wolność — kocha go- ręcej od niejednego liberała, i prawdzi- wej wolności — a więc przedewszystkiem całej wolności gospodarczej — pragnie całym sercem dla tego „małego człowie- ka”, który dziś jest bezwolnym kółkiem w mechanizmie ekonomicznym, jest uni- formowanym pionkiem w coraz bardziej

4) „What’s Wrong with the World”, Tauchnitz Edition (1910), str. 265.

„standardyzującym” się świecie społecz- nym⁵⁾.

Chesterton — wielki humorysta, pe- len sentymentu i sentymentów, — nie jest i nie może być racjonalistą, boć ty- ranja racjonalizmu zaczęła wytrwierać ze świata w XIX w. jego romantyczną du- szą. Ale nie jest też Chesterton — mi- mo wszelkich pozorów — romantycznym fantasta. Przesady fanatyka zawsze jak ognia unika; niczego przecież tak zapal- czywym nie jest wrogiem w swej prozie, a także w licznych wierszach, jak — pro- hibicji. Od popadania w ostateczności chroni go nietylko boski dar humoru, ale przedewszystkiem bezbłędne brytyjskie dziedzictwo zdrowego sensu. Ten Don Kiszot jest „Don Kiszotem chłopięcego rozumu”, jak go się ośmieliłem kiedyś w jego obecności nazwać.

To też gorące od liberałów kochając, jak się rzekło, ideał wolności osobistej, z drugiej strony bardziej stanowczo od samych socjalistów wyznaje przekonania o potrzebie wskrzeszenia autorytetu w dobie dzisiejszej. I po wskrzeszony au- torytet sięga w głąb historii, do średnich wieków: siłą fundamentalną autorytetu zachwycą go ich kultura. Pisząc krótką historię Anglii, w dziejach jej od rena- sansu i reformacji widzi niemal już sa- me tylko ekscentryczne aberracje.

Ta droga, — podobna jak przed nim Newman — dotarł Chesterton do kato- licyzmu. Jak Newman w „Apologii”, tak Chesterton wykreślił swoją doń pielgrzymkę w pismach autobiograficz- nych: w „Heretykach” od strony nega- tywnej, w formie krytyki typów odmien- nych, w „Ortodoksji” od strony pozy- tywnej, by wreszcie w „Kuli i krzyżu” (1910) niemal z zupełną jasnością wy- nikł.

Na łono kościoła katolickiego prze- szedł Chesterton formalnie dopiero po wojnie. Ale gdy raz твердо na jego gruncie stanął, okazało się, jak dalece była to zawsze „anima naturaliter Chri- stiana”: okazało się, że religia, jak od początku podświadomie była, tak teraz już na zawsze być musi, słońcem jego świata duchowego. Wierc w „Świętym Franciszku z Asyżu” (1924) tworzy naj- rzewniejszą, może najgłębszą swą książkę: „Ale i tu nie opuszcza go dziennikarski zmysł dla aktualności, ta stała cecha jego umysłu: na największym z przykładów historycznych to nade wszystko wykazać usiłuje, że właściwy średniowieczu zmysł społeczny, gdy w swej najczystszej esen- cji gorzej w sercu jednostki jako fran- ciszkański ogień miłości, — jako indy- dualna cząstka dantejskiego „Amor chi muove il sol e l’altre stelle”, — jest na dziś i na zawsze dla społeczności zbawie- niem a dla pojedynczego człowieka prawdziwą wolnością i prawdziwym szczęściem.

Religia teraz dzierży władzę niemal nieograniczoną nad natchnieniami tego pisarza. Gdy w jednej z najnowszych swych książek, „Wiecznotrwały człowiek” („The Everlasting Man”), nawiazuje do operetkowego procesu o darwinizm w Dayton w Ameryce i chce poważnie wy- stąpić przeciw bałwochwalcom teorii ewolucji, widzi w historii nade wszystko dwa wielkie cuda, których żadna ewolu- cja nie wytłumaczy: pojawienie się czło- wieka i żywot Chrystusa. Gdy w tej książce głosnemu „Zarysowi historii po- wszechnej” Wella usiłuje przeciwsta- wiać własną syntezę historyczno-filozoficzną, o- kresy dzieł ludzkości w erze chrze- ścijańskiej same już mu się układają wed- ług wielkich ruchów ideowych, które kolejno, jak fale, i wszystkie jednakowo beznamię, były o wiekustą opokę chrze- ścijaństwa: arjanizm, nauka albigensów, sceptycyzm odrodzenia, filozofia ency- klopedyistów i ewolucjonizm...

Tak to z młodego absolwenta „Slade School”, który w zaraniu naszego stulecia ołówek rysownika zamienił na pióro dziennikarza i rychoł obok Hilarego Belloc i Maksa Beerbohm zasłynął jako „jeden z trzech najdowcipniejszych ludzi Londynu”, wyrósł „wesolek” największej miary w literaturze dni dzisiejszych, dziś już, jak uwielbiany przezeń święty Fran- ciszek, „wesolek Boży” — ioculator Dei.

5) Obronie różnych „wolności”, któ- rych człowieka pozbawia dzisiejszy ustrój społeczny, poświęcona jest najnowsza książka Chestertona „The Outline of Sa- nity” („Podręcznik normalności”), 1926.

1) Już Leon Kellner w swej znanej książce „Die englische Literatur im Zeitalter der Königin Viktoria”, pisanie- we wczesnych latach sławy Chestertona (I wyd. 1909, Lipsk, B. Tauchnitz) dość bezradnie oświadczał: „Freilich hat Chesterton, der Dichter, mit Chesterton, dem Spasmacher, gar nichts zu tun”.

Harold Williams w swym dobrym podręczniku „Modern English Writers 1890 — 1914” (Londyn, Sidgwick i Jack- son, III wyd. 1925) traktuje o Chesterto- nie jako poecie i krytyku na str. 145 — nie jako powieściopisarzu i publicyście 149, jako powieściopisarzu i publicyście zaś na str. 429 — 430. — Tak samo Bernard Fehr w „Jahrbuch der englischen Literatur des 19. und 20. Jahr- hunderts” (Berlin, „Athenaion”, 1923 — hunderts”) (Berlin, „Athenaion”, 1923 — hunderts”) (Berlin, „Athenaion”, 1923 — hunderts”).

U nas prof. Władysław Tarnawski w swej książce „Z Anglii współczesnej” (Lwów, Ossolineum, 1927) dał charakte- rystykę całej (nietylko powieściowej) twórczości Chestertona w rozdziale „Grupy społeczne w dzisiejszej beletry- styce angielskiej”, str. 312 — 358. — Pi- sał o nim także prof. Andrzej Tretiak w „Przeglądzie Powszechnym” (1926, str. 511 — 512).

2) „The Ballad of St. Barbara and other Verses” (1922), p. 32: „For a War Memorial”.

3) Tamże: „To Captain Fryatt” (p. 56).

ANDRZEJ TRETIAK

„Magja” Chestertona

Z pomiędzy kilkudziesięciu tomów i tomików G. K. Chestertona lubię najwięcej „Magic”. Nie dlatego, że jest najkrótszą jego rzeczą, którą można przeczytać w ciągu półtorej godziny, poddając się bez konieczności przerwy intensywności działania nastroju, i nie dlatego także, że „Magic” jest jedyną z jego dzieł, która jedna dramatyczna sztuka. Bo wiadomo, jedynaczki są często przykre, a zwłaszcza dramatyczne jedynaczki powieściopisarzy i essayistów. Ale lubię ją dlatego najwięcej, że przy całej śmiałości, jaka jest podłożem twórczości Chestertona, „Magic” jest czynem najśmielszym.

Śmiałość nie jest zuchwalstwem; to zresztą pięknie powiedział już Sokrates w swojej „Obronie”. Zuchwalstwo przegrzywa prawie zawsze, bo nawet w chwili zwycięstwa zwykle nie wie, co z nim zrobić; dla zuchwalstwa zwycięstwo było celem, dla zuchwalstwa źródłem było odosobnienie, zamknięcie w sobie ją, które wystarcza nato, aby stworzyć sobie świat, ale nie wystarcza, aby drugich w świat nie wprowadzić. Ale śmiałość wygrywa zawsze, nawet w razie klęski. Nawet w razie klęski śmiały czyn zachowuje swoją wartość pozytywną, staje się świadectwem idei, dla której on sam był tylko środkiem, bo ona — idea — była celem. Ale „Magic” nie jest wcale klęską; przeciwnie — „Magic” jest zwycięstwem autora i nad swoją powieściopisarską naturą, którą zmusił do napisania dobrego dramatu, i nad widzem, którego zmusił do wysłuchania w napięciu sztuki, i nad czytelnikiem, który powraca do niej ciągle (mam przed sobą wydanie z 1921 r. dziewięć od listopada 1913, a drugie powojenne) — jest zwycięstwem wreszcie i nad tematem. Choć nie — to temat właśnie przyczynił się do zwycięstwa „Magic”.

Bo tematem — proszę sobie dobrze zdać sprawę ze śmiałości Chestertona — jest wiara, ten moment w życiu duszy, o którym się wogóle nawet nie mówi jako o *quantité néglibeable*, jako o czemś, co jest miłym efektem w życiu dziecka, gońiącego niewiadomą za tajemnicą bytu, ale dla dorosłego człowieka jest organem szczałkowym instynktu, niepotrzebnym w zmechanizowanym, wytłumaczalnym bez reszty całokształcie życia zewnętrznego. Jeżeli zaś ten temat pojawia się na scenie czy w powieści, to pojawia się jako sposobność do walki z tym instynktem, jako wołanie o masową operację szczałkowego organu — przyczem często w deklamacji i fałszywym patosie, jakie chętnie się łączą z tem ujęciem tematu, kryją się inne cele. I oto w tej atmosferze obojętności dzisiejszej (lub może już tylko wczorajszej, z dnia przed wojną) i atmosferze nieprzychylności zjawia się sztuka dramatyczna, która za oś swoją bierze wiarę żywą i wskazuje, jak wygląda świat duszy bez tego wewnętrzznego światła. Nie jest to śmiały czyn naprawdę? W zdumieniu, jakie nas ogarnia w chwili, gdy zorjentowaliśmy się w istocie zagadnienia, wszystkie nadnaturalne szczegóły, jakie zdarzają się na scenie, poruszanie się mebli i samo-zapalanie się światła, wszystkie te mechaniczne szczegóły reżyserskie nie robią wrażenia niekongruentności; wiedząc dobrze o ich pochodzeniu, wierzymy jednak w ich prawdziwość, ich nadnaturalność. Dostaliśmy się bowiem w zaczarowany krąg „magic”, zaczarowany krąg głębokiej wiary autora.

W króciutkim „Preludjum” krąg ten zakreśla na ziemi „Obcy”; zakreśla go przed młodzieńką Patrycją Carleon, Irlandką, która „wierzy we wszystko”, przedewszystkiem jednak w elfy i czary i szuka „fairys” w parku swego wujka księcia, w podgórskiej okolicy Anglii, gdzie przebywa od kilku miesięcy po śmierci rodziców. W mglisto-deszczysty poranek, w zaroślach młodego zagajnika, gdzie u pni drzew tuła się duże plamy kwiatów leśnych, spotyka Patrycja tego „Obcego” w płaszczu z kapturem, zasłaniającym mu prawie całą twarz. „Obcy”, kreśli na ziemi koło magiczne i szepcze niezrozumiałe formuły. To mowa „elfów” — objaśnia Patrycja — on sam jest „duchem żywiołów”, jest wyższy od Patrycji, bo to nieprawda, że elfy są mniejsze od ludzi, — każdy duch żywiołów jest większy niż cały świat; jest mężczyzną, bo chce i ma mówić z kobietą.

Patrycja cofa się z przestachem, — scena ginie, zaszuwa się w mgłę; a z niej wylatują się salon w pałacu księcia, który będzie teraz sceną całej sztuki, odbywającej się z idealną precyznością czasu, miejsca i akcji. „Preludjum” — dowiadujemy się później — odbyło się na kilka dni przedtem — ale to przejście bezpośrednie jednej sceny w drugą symbolizuje właśnie znakomite małoznaczące elementy czasu w procesach duszy, które są wieczne i niezmienne.

W salonie panuje półmrok wieczorny. W głębi, poprzez oszklone drzwi wodzące do parku widać czerwoną lampę, płonącą nad drzwiami jakiegoś domu. To dom lekarza, doktora Grimthorpe’a, który za chwilę się zjawi i rozpocznie kontrowersję z pastorem Cyrelem Smithem, bawiacym w tej chwili w salonie księcia. Pastor Smith niedawno objął swe miejsce, ale zabrał się odradu do pracy społecznej — dla niego bowiem, dla „chrześcijańskiego socjalisty”, wiara odgrywa mniejszą rolę, niż praca humanitarna. „Trzeba najpierw dać jeść, potem kazać pościć”. W rzeczach wiary nie ma wyraźnego stanowiska — raz utrzymuje, że „jedyną rzeczą, do której każdy człowiek ma prawo, jest dobrodziejstwo wapienia”, ale gdy staje wobec faktu wąpie-

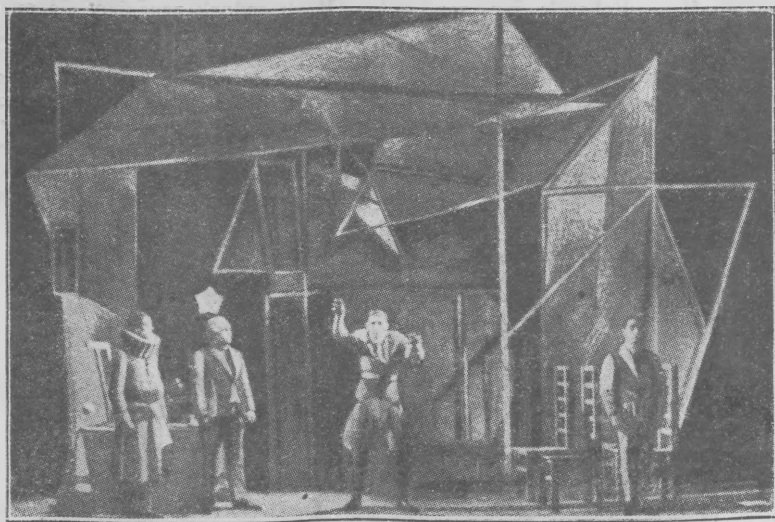
nia przybierającego kracicowate formy, rzuca w stronę doktora Grimthorpe’a, agnostyka, wyrzut, że to on jest winien tej manji niewiary, bo „poco wiecznie pytać”. Pastor Smith jest spadkobiercą Karola Kingsleya, twórcy „chrześcijańskiego socjalizmu” w Anglii, ale z rozwojem stosunków jest „pragmatystą”, choć uważa to określenie za obrażę — każda wiara jest dobra, — pogańska też była dobra, jeżeli tylko reguluje życie zewnętrzne, społeczne, jeżeli tylko może mieć zastosowanie użyteczne. Sprowadza się tu wiara zatem do zewnętrznego kultu. Ale to duszy nie może wystarczyć. Pastor Smith troszczy się też więcej o dobro materialne swych parafian. Chce założyć wzorowy dom parafialny, gdzie mogliby się wesoło i uczciwie zabawić przy użyciu w miarę trunków pod kontrolą duchownej osoby. Na ten temat toczy się właśnie dysputa z lekarzem. Doktor Grimthorpe był przyjacielem Huxleya i jest jak on agnostykiem. Wiedza przyrodnicza wykazuje, że nie istnieje nic nadnaturalnego, ale nie może dać pewności w tym względzie; wobec tego trzeba sobie powiedzieć: nie wiemy nic i nie będziemy nic o tem wiedzieli. Przy agnostycyzmie trzeba jednak żyć — trzeba zatem całą uwagę władz umysłowych skupić na samo życie, dbać o fizyczne zdrowie, o normalne zachowanie się, o niedopuszczanie do żadnych choćby najmniejszych ekstrawagancji, o zachowanie niepokalanych form towarzyskich, o decorum przekonań, które są — powinny być — zależne od otoczenia: w Irlandii można wierzyć w elfy, w Ameryce można być materialistą, w Anglii jednak towarzyskie względy wymagają „agnostycyzmu”, bo to nikogo nie może dotknąć. Domowi parafialnemu przeciwstawia się ze względów zdrowotnych, a zarazem trochę w obawie o utratę wpływów w swojej domenie, których widomym znakiem jest czerwone światło płonące nad drzwiami jego domku, głoszące, że nauka potrafi uregulować wszystkie fizyczne i psychofizyczne objawy życia.

Obaj przeciwnicy udają się do księcia z prośbą o pomoc w ich akcji. Książę nie ma czasu wysłuchać ich opinii, gdyż wogóle nigdy nie ma czasu, nie będąc niczem zajęty, ale sekretarz jego wręcza im obu czek na też same kwoty, bo książę jest nie tylko „liberal” (hojny), ale i „liberal-minded” (liberalny). Do dwóch typów wiktoriańskich, stanowiących przekrój starszego pokolenia angielskiego, przybywa trzeci: liberal. Chesterton z całą złośliwością przedstawia liberalizm w postaci tego dobrego księcia, którego umysłowość jest kompletnym chaosem, a którego cała polityka postępowania polega na popieraniu wszystkich programów, choćby zupełnie z sobą sprzecznych. Skutki takiego „kompromisu” przedstawia się praktycznie np. jako bójkę na pięści Ligi Wegetariańskiej i Ligi Antywegetariańskiej, obu wspieranych hojnie przez księcia. W kwestjach wiary jest zupełnym indyferentem, bo zupełnie nie może zrozumieć treści problemów i tylko ze strony formalnej je traktuje; wiara to mniej więcej dla niego to samo, co dobra sztuczka magiczna, rzecz w swojej formalnej stronie doskonała, bez żadnej istotnej treści. To też ten jego pogląd będzie źródłem całej akcji „Magic”.

Bo oto wobec tych trzech przedstawicieli starszego pokolenia (pastor Smith jest młodszy, ale ma przekonania poprzedniego pokolenia) stoi troje młodych ludzi, między którymi rozgrywa się tragedia. Jest to para wychowanych księcia, Patrycja Carleon i jej brat, Morris, i „magik”, „a conjurer”, jak to nadzwyczajnie określa język angielski. Patrycja



G. K. Chesterton wraz z żoną w Chesterfield



„Magja” w teatrze w Krefeld w reżyserji Martina

Literary Warsaw welcomes distinguished English visitor

An invitation extended by the P. E. N. Club finds its realization on April 28th in the arrival to Poland of a great English writer and a great friend of our nation — Gilbert Keith Chesterton.

Well known as he is to us, the eminent writer will find our hearts opened to him. His literary activities, brilliant mind and exceptionally rich imagination has long since won our admiration, if only to call upon the series of studies devoted to him.

But this admiration would never have reached such an intensity had it not been for a truly exceptional affinity which exists between our distinguished guest and the Polish nation. No other Western writer understands Poland's aspirations and movements as Chesterton does. He understands her to-day and understood her in the past, during the years of bondage. Only an intuition that sprang from so great a heart and mind as his could span the abyss that exists at the time between fortunate, free England and the tragically struggling Polish nation, which can be likened to „the Man in Green” in that it loved its country even at the moment of its greatest downfall. When we fought for and won our independence, Chesterton always stood with us, a staunch friend, wielding his pen for our cause and branding our bondage as an historical crime. By placing the fervor of religious faith, love of truth, concreteness of life as well as the courage to defend these truths above all things, he once named those which have constituted and constitute the foundation of the Polish spirit.

This has brought it about that, alongside of Conrad, Chesterton to-day is our most popular English writer. Just as he found deep spiritual relationship in us, so have we found it in the heart of the author of „The Ballad of the White Horse”. This explains why each of his books have been received by us with especial enthusiasm. For our love for the great English writer is based not upon esteem and admiration alone, but upon a deep spiritual and mental kinship.

And this enables us to extend an exceptionally hearty welcome to a great poet and friend. He arrives to-day not only as a guest of people who cherish and admire him, but his is a visit to what spiritually is his second country.

„wierzy we wszystko”. Morris nie wierzy w nic. Jest to zamerykanizowany Irlandczyk, kierownik kopalni w Arizonie, zupełnie młody człowiek, ale „businessman” skończony i „matter-of-fact man” zupełny. Nietylko nie wierzy w nic, ale z pobudliwością, rasie irlandzkiej wrodzoną, wszystko to, co może mieć w sobie cień czegoś „nie-rzeczowego”, namiętnie zwalca. Ma właśnie dziś wieczorem przyjechać do swego opiekuna, i księża, który wie, że w rodzinie jego panuje skłonność do obłędu, chciałby przy pomocy swego „kompromisowego” sposobu załatwiania rzeczy, sposobu, który nigdy nikogo nie zadowolił, przekonać Patrycję, że wiara jest sztuką, a Morrisa, że pewne rzeczy, choć nie ściśle rzeczowe, mogą być interesujące, i sprowadza w tym celu bardzo zdolnego „profesora magii”.

Młody człowiek, o inteligentnej, nieco zniszczonej twarzy, jest bardzo ciekawą postacią. Syn matki z dobrych sier, która popełniła megalomanię, wychodząc za wędrownego skrzypka, opuszczony wczesnym przez ojca, chował się na ulicy Londynu, pracował jako dziennikarz, poznał się z różnymi ludźmi i został wreszcie dla chleba sztukmistrem. Zna ciemne strony świata dobrze — posiada doskonałą zdolność „repartie”, w swoim tłuścim życiu tęskni za inteligentnym towarzystwem. Spotkał się przypadkowo z Patrycją, wtedy w ogrodzie jako „Obcy”, wziął ją za dziecko, t. j. za rzecz, którą się można bawić, — zaczął jej opowiadać bajki, zbliżył się od niej na ich terenie jako na terenie jedynie istotnie demokratycznej instytucji, bo wszak „wszyscy członkowie wszystkich klas społecznych słuchali wszystkich tych samych bajek”, ale spostrzegł, że on, „magik”, dostał się sam w krąg innego prawdziwego, przemożnego „uroku” — uroku miłości. Stąd popłynęło źródło jego chwilowej tragedji, jak popłynęło dla Patrycji. Kiedy w pierwszym akcie ku końcowi odstania on zaraz po pojawieniu się na scenie swoje incognito przed Patrycją, ta czyni mu zarzut, że popełnił największą krzywdę, jaką można dziecku wyrządzić: ukrasć mu zabawkę, a jej zabawką była „a fairy tale” — baśń. Ale ta tragedia jest pozorna. Jego, magika, tragedia jest głębsza. Morris, „człowiek interesu”, który niezawodnie ocierał się blisko o nieuczciwość, wietrzy w zachwycie Patrycji, z jakim opowiada o spotykaniu w parku „duchu żywiołów”, jakąś chęć oszustwa, wymuszenia przez skandal, i od pierwszej chwili traktuje magika jako oszusta. W drugim akcie, w którym ma się odbyć przedstawienie magiczne, dochodzi do awantury między młodymi ludźmi, załagodzanej przez lekarza, ale popędliwy Amerykanol Irlandczyk, typ umysłowości Chestertonowi wyraźnie niemyli, nie mogąc dać folgi swemu podnieceniu w stosunku do „conjurera”, rzuca się na religię i zaczyna na wywodzić, że wszystkie cuda proroków i patriarchów, jak np. cud wydobywania wody ze skóry przez Mojżesza, były zawsze dobrze przygotowanymi sztuczkami magicznymi. Próżno pastor i lekarz starają się odwieść go od tego tematu, Morris woła: „nie możecie wskrzesić już dziś waszych świętych i proroków, jak nie możecie wskrzesić tego prapradziada księcia, aby zatańczył na ścianie”, i wskazuje na portret na ścianie, który zaczyna się miarowo poruszać. Morris wpada na magika, który skupiony stoi przy stole, kurczowo zaciskając ręce na jego brzegu: to on przy pomocy drutów to zrobił to, ci „spirytualiści”, umieją poruszać meble, o ile się dadzą poruszyć, — i w oddalonym kącie salonu krzesło z lekkim trzaskiem pada. Morris jest wściekły, ale to zjawisko on ro-

zumie — przy pomocy pochyłej deski zrobił to sztukmistrz, ale nikt nie potrafi zmienić światła czerwonego lampy na niebieskie, tak jak Jozue nie zatrzymał słońca ani księżyca. I w tej chwili lampa czerwona w dali pali się niebieskimi światłami. Morris wpada w szal, nie umie tego rozwiązać. I lekarz, który go nie może uspokoić wezwaniem, aby tę sprawę pominął, zwraca się z prośbą do magika. „Jeśli to pan zrobił tę sztukę, to niech ją pan, na Boga, odrobi” — i po chwili światło niebieskie gaśnie, i lampa płonie czerwono. Ale Morris wpada w rodzaj maligny na jawie i męczy się problemami mechanicznego rozwiązywania zagadnienia.

„Pańska ostatnia sztuka była doskonała, — mówi pastor Smith do magika — tak dobra, że wolabym, aby pan jej nie zrobił”. Pastor Smith czuje nieświadomie jakiś lęk, i my z nim razem. A kiedy magik odpowiada, że i on wolaby był tego nie robić i z krzykiem bólu, że wolaby był nie przychodzić na świat, wychodzi, czujemy, że dokonała się w nim jakaś tragedia, wielekroć razy większa niż tragedia Patrycji i tragedia Morrisa.

Odstania ją w trzecim akcie magik przed Patrycją, kiedy ta przyjdzie go prosić o pomoc w chorobie brata, którego może uleczyć tylko wiadomość, jak dokonała się przemiana światła w lampie. Prosi go o to lekarz, ale temu nie może magik powiedzieć prawdziwego sposobu, bo lekarz nie uwierzy; chce bardzo delikatnie odkupić tę „tajemnicę” od niego księża, ale i temu nie może dać magik odpowiedzi, bo jest dla księcia „prosta”, — pastorowi powiedziałby, ale widzi, że ten nie wierzy wogóle. Przemiana do niego ostro, pyta, poci ubierać się w strój kościelny, skoro nie wierzy się w treść. „A może pan nie wierzy w diabła?” pyta. A z ust pastora pada odpowiedź niepewna: „wierzę...”, ale po chwili jego prawa natura przemaga, i pastor mówi: „Chciałbym móc wierzyć”. Jest to bolesne wyznanie, i jak bolesne echo odzywa się głos magika: „Chciałbym móc nie wierzyć”. W rozmowie z Patrycją dokona się odkupienie magika. Spowiada się on z grzechu. Żal za utraconą z jej strony miłością, obrażona duma osobista i pyszałkowane traktowanie stron życia, nieznanymi mu zupełnie, przez Morrisa doprowadziły go do czynu, przed którym się bronił długo. W czasie swej włóczęgi spotykał się z przedziwnymi ludźmi — na dzień niedzi, jak na dzień dantejskiego stożka piekielnego, jest granicą między człowiekiem a pozawiatem zła. On się tam zetknął z tą siłą. Ciągnęła go do siebie pokusami swobodnego życia w dostatkach, ale się jej oparł — wyrzekł się związku z nią i dopiero dzisiaj wezwał ją na pomoc. Przyszła i usłuchała jego wezwania. Oto tajemnica wieczoru i tragedji. „Biedny!” — mówi Patrycja, głoszącą go po ramieniu, Patrycja, która w czasie długiej rozmowy przyjęła jego oświadczenia, rzuca na jego krzyk rozpacz ku niej, aby wyrwała go z nędzy dotychczasowego życia. — Ale co zrobimy z Morrisem? — pyta, jak prawdziwa kobieta, która myśli przedewszystkiem sercem. Ja — ja ci wierzę, kochany. Ale on, — on nie uwierzy nigdy”. I magik odchodzi do ogrodu, aby znaleźć jakieś racjonalistyczne wytłumaczenie — jeżeli znajdzie, jest jeszcze godny łaski Bożej. W salonie tymczasem po jego odejściu obecni zdradzają lęk i niepokój — salon zdaje się być natłoczony dziwacznie gościmi, duszno jest w nim, strach w nim zapanował. Ale magik wraca, i powraca spokój — odesłał też siły, które wezwał do pomocy, znalazł sposób rozwiązania, który opowie tylko Morrisowi. Innym nie powie, po co? onby przecież temu kłamstwu uwierzył. Ta groźna przestroga, wzywająca nas do spojrzenia w oczy kłamstwu, które nas w braku wiary otacza, kończy Chesterton sztukę. Patrycja nie żegna się z magikiem na zawsze — zostanie jego żoną. Tragedja jej skończyła się przedko — nie była wcale tragedją zresztą. Skończyła się tylko baśń, ale skończyła się w sposób jedyny, jaki baśń może się skończyć: stała się prawdą. Ow „duch żywiołów”, przybierający postać mężczyzny, gdy ma mówić do kobiety, to miłość, która przychodzi sama, przypadkowo, niespodziewanie, potężniejsza niż cały świat, i wiąże ludzi w swój magiczny krąg.

„Magic” jest naprawdę jak gdyby spletem owych kół zaklętych. Widziałem ją na scenie w Anglii (1923), czytałem ją potem kilka razy, umiem ją niemal na pamięć i wciąż do niej wracam. Rzuca „urok” swoją śmiałością, pragnieniem „stania się świadectwem prawdzie”. I staje się rzeczywiście tem świadectwem. Już fakt pokonania samej formy kompozycyjnej, tak trudnej jak dramat, jest dowodem prawdy idei utworu. „Magic” Chestertona jest skóconcem dziełem sztuki jako szarmonizowanie formy i treści — jest kwiatem anglosaskiej głęboko mistycznej psychy, jest kwiatem najgłębszych impulsów duszy autora. Niepokój, jaki pozostaje w nas po wysłuchaniu sztuki, niepokój, żądający odpowiedzi na pytanie, jaki jest nasz stosunek do wiary, niepokój ten nie jest momentem nieartystycznym. Przeciwnie, w nim spełnia się zadanie dzieła sztuki: uczynienia nas współtwórcami w rozwiązywaniu zagadnienia poruszonego przez autora. A zagadnienie to mówi, że prawda życia leży nie w świecie czysto zewnętrznym, czy to będzie polityka (książe), praca społeczna (pastor), nauka (lekarz), czy interes (Morris), czy nawet sztuka (Patrycja), że prawda życia leży w wierze, która jest powietrzem, atmosferą duszy.

JÓZEF WITTLIN

„Święty Franciszek” Chestertona

W ostatnich dwu latach nawiedziła rynki księgarskie zachodniej Europy istna powódź książek traktujących o św. Franciszku. W omdniętach wody, ujętej w mniej lub więcej ciekawe tomy stylu, powstał Biedaczyn utonęłaby niezawodnie, gdyby kilka wybitnych umysłów europejskich nie podjęło doradzić, lecz niemiennie skutecznej akcji ratowniczej. Pośród zalewu przyczynków historycznych i ściśle katolickich apoteoz z trudem unoszą się na powierzchnię śmiałe szalupy samodzielnich pisarzy, którym udało się (niekiedy zapomocą sztucznego oddychania) przyprowadzić świętego topielca do życia. Do najciekawszych prac, podjętych samodzielnie w interesie ożywienia wielkiego apostoła ubóstwa z XIII w., należy studjum Chestertona (czytałem je po francusku w tłumaczeniu Izabelli Rivière).

Chesterton jest przedewszystkiem konstruktystą. Szkieletując osobistość i charakter św. Franciszka, nie uniknął błędów towarzyszących tej metodzie twórczości. Metoda ta często okazuje się zwodniczą, zwłaszcza w utworach biograficznych. Mimo to potrafił Chesterton ukazać Poverella w świetle tak jasnym, ciekawym i oryginalnym, że samo to oświetlenie zdobywa nas, niezależnie od oświeczonego przedmiotu. Zastanawiając się nad sposobami nowoczesnego ujęcia zjawiska dziejowego, któremu na imię było św. Franciszek, uważa Chesterton, że w celu zbliżenia tego zjawiska do serca dzisiejszego czytelnika, należy je traktować nie jako bohatera przeszłości, lecz jako herosa dnia dzisiejszego. Nie chodzi mu

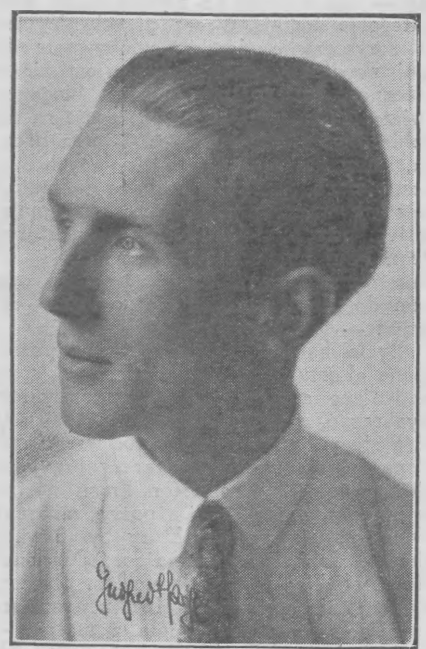
o rzecz prosta o kostiumologię, o zewnętrzną dekorację epoki. Nie robi przedstawienia „Hamleta” w smokingach i frakach. Chodzi mu raczej o oderwanie św. Franciszka od podłoża wieków średnich, o wyodrębnienie świata jego idei z macierzystego pnia i o przeniesienie tego świata na grunt dzisiejszy. Dlatego też Chesterton adaptuje irracjonalizm św. Franciszka do racjonalizmu, ba — nawet do współczesnego sceptycyzmu. Nawet względy religijne, w znaczeniu panujących dogmatów, zostawia na uboczu i tytułuje św. Franciszka „jedynym prawdziwym demokratą tego świata” oraz „pierwszym herosem humanitaryzmu”. Znajac katolicką ortodoksję Chestertona, że zdziwieniem stwierdzamy u niego tak daleko idącą zdolność do ustępstw na korzyść otoczenia, ale przyznać musimy, że ta droga najlepiej prowadzi do celu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że Chesterton jest misjonarzem, ale misjonarzem, który nie chce pogan drażnić krucyfiksem, zaim ich „pogańskim” sposobem nie nauczy miłości tego krucyfiks. Celem Chestertona jest nawracanie niewiernych nie szturmem, obcesowo, bezpośrednio, lecz przez podstawienie surrogatu, łatwiejszego do przyjęcia, niż sam Chrystus. Niema w całej hagiografii postaci bardziej podobnej do Chrystusa i równocześnie bardziej człowieczej w znaczeniu współczesnym, niż święty z Assyżu. Patos jego świętości jest patosem pozbawionym grozy, niecodzienności jego jest tylko sublimowana codzienność. Urok św. Franciszka jest ogromnie świecki, a minimalna obecność ascetyzmu w jego życiu i na-

turze musi mu zjednać adoratorów nawet u wrogów średniowiecza.

Cel Chestertona byłby chybiłny, gdyby metoda jego misjonarstwa była mniej kompromisowa. Większość nawracanych t. zw. inteligentów angielskich w swoim przedsięwzięciu zatyka sobie uszną wspomnienie piękności nie z tego świata. To też Chesterton używa metody raczej dyplomatycznej, niż bojowej. Bardzo delikatnie stara się on przemycić swoją wiarę, swój zachwyt, w świat z gruntu obcy, jeśli nie wrogi. Poprosto odyssowym fortelem wprowadza do Troi racjonalizmu swego drewnianego konika. Co się stanie później — wiadomo. Z wnętrza konia wyskoczą niespodziewanie zbrojni Argiwi i zawojują najbardziej opornych przeciwników. Podziwiać należy tutaj spryt Chestertona, głęboką znajomość przeciwnika i jego broni, którą to broń wytrąca mu w krótkim czasie. Człowieka wierzącego oblewa rumieniem wstyd, kiedy słyszy takie słowa: „można spróbować opowiedzieć dzieje świętego, nie wspominając o Bogu, tak jak gdyby nas proszono, byśmy opisali żywot Nansena, nie wspominając o biegunie północnym”. Takie stanowisko uważa Chesterton za możliwe, chociaż neguje je, podobnie jak stanowisko czysto teologiczne. Z właściwym sobie darem żonglowania paradoksami mówi Chesterton o Bogu tam, gdzie się najmniej tego spodziewamy, i znajduje takie definicje, które mogą pobić najzaciętszych ateistów. Wystarczy rzucić okiem na chestertonowskie określenie różnicy między filozofją a religią, z której wynika definicja róż-

„Die Neue Bücherschau”

Czasopismo „Die Neue Bücherschau” należy do najbardziej sympatycznych i najwspółczesniejszych piśmiennictwa niemieckiego. Stworzył je z końcem 1919 r. w Monachium K. Lang (terazniejszy korespondent „Vossische Zeitung” w Bruckelli) i H. T. Joel, znany naówczas działacz w niemieckim ruchu wolnościowym. Plan założenia nowego pisma literackiego, popierającego również grafikę, powstał



GERHARDT POLH

na widok niedomagań wszystkich istniejących czasopism literackich, gdy chodziło o literaturę i sztukę wojenną lub powojenną.

Pierwszy zeszyt miał olbrzymie powodzenie, tak że nakład drugiego wyniósł już 6.000 egzemplarzy. — „Neue Bücherschau” kilkakrotnie zmieniano właścicieli i wydawców, zanim przeszło pod kierownictwo obecnego wydawcy Gerharta Pöhl, który nie ulegając wpływowi żadnej księgarni, podjął reformę pisma. Usiłując dać kompletny obraz ruchu li-



MAKS HERRMANN-NEISSE

terackiego całego świata, powołał przede wszystkim pisarzy rewolucyjnych celem roztrząsania problemów literackich, będących w jego przekonaniu drogami przyszłości. Najczęściej pióra krytyczne młodego pokolenia (Maks Hermann-Neisse, Kurt Kersten, Walter Petry, Paul Cohen Portheim, Robert Müller i in.) należało do współpracowników czasopisma, które bardzo się zażyli, odkrywając nieznanych lub niezrozumianych poetów lirycznych — Becher, Haringer — i informując o piśmiennictwie zagranicą. Każdy zeszyt tego wydawnictwa stoi pod pewną myślą przewodnią: „Krytyka starej zanikającej literatury”, „Współczesna poezja niemiecka”, „Współczesna poezja europejska” i t. d. Znakomitym pisarzem poświęconym są specjalne numery, jak np. Spenglerowi, Tomaszowi Mannowi, Shawowi i t. d. Wyborne są dodatki pierwszorzędnymi grafikami (Gross, Dix, Masereel, Zille, Corinth).

„Die Neue Bücherschau” będzie odtąd wychodziła jako miesięcznik, przynosząc obok prozy krytycznej, jak dotąd, także poezję.

Jak Piotr Louys stał się sławny

Wiadomo jest, że powodzenie powieści „Afrodyte” zawiązywał Piotr Louys feljetonowi Franciszka Coppée, umieszczonemu dn. 16 kwietnia 1896 r. w „Journalu”. W ciągu krótkiego czasu sprzedano 14.000 egzemplarzy, a Coppée pozyskał sobie wdzięczność i uwielbienie młodego pokolenia za odwagę, z jaką wystąpił w obronie zupełnie nieznanego pisarza. W rzeczywistości jednak sprawą przedstawiała się zupełnie odmiennie. Feljeton Coppée’a był przyjacielską usługą oddaną J. M. Héréditi, kierownikowi literackiemu „Journalu”, gdzie Coppée pisywał kroniki tygodniowe. Louys był uczniem Héréditi, wydał on „Afrodyte” własnym kosztem, książka nie szła, i tęsknoty chodziło przynajmniej o wycofanie wkładu. Tak to Coppée „odkrył” Louysa. Coprawda przysłużył mu się znakomicie, gdyż w feljetonie swoim polecił książkę jedynie artystom, wskazując na nieprzystojność szeregu miejsc, co wzbu- dziło tem większe zainteresowanie wśród szerokiej publiczności.

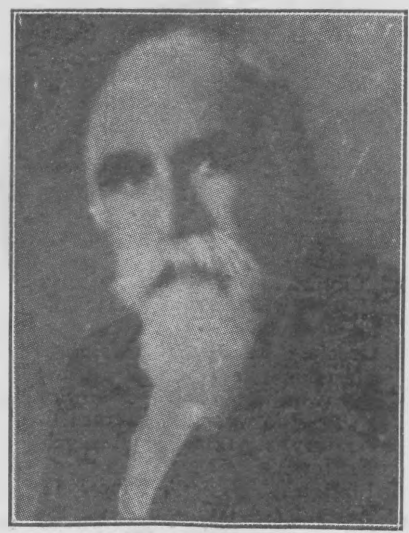
Luigi Luzzatti

Rzym, w kwietniu 1927.

Dn. 29 marca b. r. w wieku lat 86 zmarł w Rzymie znany mąż stanu i uczonego, Luigi Luzzatti, jedna z najwybitniejszych postaci współczesnego włoskiego świata politycznego i naukowego.

Luzzatti był przede wszystkim znakomitym ekonomistą, najwybitniejszym bez wątpienia z ekonomistów włoskich. Urodzony w Wenecji dn. 11 marca 1841 r., już jako dwudziestoletni młodziwiec zwrócił na siebie uwagę, zakładając, w celu polepszenia bytu warstw pracujących, szereg banków i kooperatyw ludowych. Na polu współdziałania pracował potem jako poseł do parlamentu, minister finansów, skarbu, rolnictwa, wreszcie jako prezydent ministrów (1910 — 1911).

Lecz Luzzatti nie był tylko ekonomistą. Zajmował się również studiami filozoficznymi i religijnymi, poświęcając szereg prac stosunkowi kościoła do państwa i zagadnieniu wolności sumienia.



LUIGI LUZZATTI

Wynikiem tych studiów była zasada „Wolny kościół w zwierzchnictwie państwie”, uzupełniająca formułę Cavoura „Wolny kościół w wolnym państwie” i streszczająca zwięźle lecz dokładnie poglądy polityczne - religijne zmarłego uczonego.

Wreszcie był Luzzatti mówcą pierwszorzędym i nieustraszoną dzielną, zasilałacym stałe przez lat kilkadziesiąt popularnymi artykułami z zakresu ekonomii społecznej najpoczytniejszy dziennik włoski „Corriere della Sera”.

Przedewszystkiem jednak był człowiekiem wysoce szlachetnym, kryształowym charakterem, nieznośnym niesprawiedliwości i ucisku i zwalczającym je zawsze i wszędzie, we wszystkich ich objawach, czy to ekonomicznych (stąd jego działalność w duchu socjalistycznym w celu ulżenia doli klas pracujących na wiele lat jeszcze przed powstaniem socjalizmu), czy religijnych (walka o wolność sumienia), czy też politycznych (częste wystąpienia w obronie ludów uciśnionych), m. in. i Polaków, o których niejednokrotnie odzywał się przed wojną w parlamencie włoskim ze współczuciem i gorącą sympatią. To też zgón jego, boleśnie w całym Włoszech odczuły, i u nas w Polsce nie powinien przebrzmieć bez echa.

Oskar Skarbek-Tłuchowski.

Propaganda sztuki polskiej

Tow. Szerzenia Sztuki Polskiej wśród Obcych w krótkim czasie jaki nas dzieli od jego powstania musi walczyć z poważnymi trudnościami. Mimo to jednak i pomimo szczupłości środków Towarzystwo zorganizowało już dwie wystawy: otwartą niedawno z niezwykłym sukcesem wystawę współczesnego malarstwa polskiego w Helsingforsie, obejmującą około trzystu prac najcenniejszych naszych malarzy, oraz wystawę grafik w Florencji, która została otwarta dn. 23 b. m. Poza tym Towarzystwo zorganizowało wystawę książki polskiej na targach lipskich przy pomocy p. Jakóba Morikowicza. W stadium organizacyjnym, aczkolwiek prawie gotowe, są dwie wystawy muzyczne: współczesna w Genewie oraz współczesna i retrospektywna w Frankfurcie nad Menem. Szczególniej wystawa frankfurcka dzięki energii p. Leopolda Binentali oraz życzliwości, z jaką idea ta spotkała się w zarządzie Biblioteki Jagiellońskiej, Biblioteki Krasniskich i t. d. i t. d., przedstawiać się będzie imponująco. Wystawa ma być połączona z konkursem muzycznym, na którym grać będzie na instrumentach polskich Panułka Dubiński oraz prawdopodobnie Michał Wilkomirski. Z okazji tej wystawy Towarzystwo ma zamiar wydać małą broszurkę o polskich drukach muzycznych z XVI w., ozdobioną szeregiem plansz. W przygotowaniu jest również wystawa pasów słudków w Ameryce.

Z wydawnictw Towarzystwo opracowuje małą monografię o Łazienkach w językach francuskim i angielskim, pióra p. Stanisława Karwickiego, oraz współdziała w niemieckim wydaniu listów Chopina. Poza tym projektowany jest szereg monografii specjalnych oraz broszurek popularnych.

Towarzystwo zamieściło też liczne artykuły o sztuce polskiej w pismach niemieckich, francuskich, belgijskich, włoskich, bułgarskich, fińskich i t. d.

NOTATKI

Encyklopedje włoskie. Nowa encyklopedia włoska zawierać będzie około 80.000 artykułów, a włoski słownik biograficzny obejmie 16 tomów.

O nagrodę Nobla. Hiszpania wysuwa jako kandydata do tegorocznej nagrody Nobla Palacia Valdés.

Hiszpańska nagroda literacka. Hiszpańska nagroda literacka za r. 1926 została rozdzielona pomiędzy Avala za „Tigre Juan” i Espina za „Altar Mavor”.

Zawieszone pismo hebrejskie. Znanе czasopismo hebrejskie „Haschiloach” z powodu trudności finansowych przestało wychodzić. Przez dłuższy czas redagował je Achad Haam. Przed redolucją rosyjską drukowane było w Odessie, następnie wyemigrowało do Ameryki.

Moralne Węgry. Pewnemu wydawcy węgierskiemu proponowano wydanie przekładu powieści Werfla „Nie morderca jest winien, lecz zamordowany...”

Obraz majestatu. Stan kawalerski księcia Walji bardzo się niepodoba Anglikom. Jeden z nich ogłosił nawet książkę p. t. „Why the Prince Cannot Marry?” („Dlaczego książę nie może się ożenić?”).

Została ona skfiskowana, a nieszczytny autor, mimo iż bronił się, że nie chodziło mu wcale o księcia Walji, ale o postać zmyśloną, dostał pół roku ciężkiego więzienia. Za obrazę majestatu.

Ułubione książki Masaryka. W r. 1906 pewien tygodnik literacki zorganizował ankietę „Dziesięć najlepszych książek literatury europejskiej”. Obecny prezydent Masaryk wymienił wówczas: „Religie serca” Hunta, „Prawa człowieka” Paine’a, „Monogamie i poligamie” Björnsona, „Alkoholizm” Vanderveldego, „Viollette” Bronholto, „Burze” Szekspira, „Prawdę i poezję” Goethego, „Idjotę” Dostojewskiego, „Aurora Leigh” Browninga. Poza tym wyróżnił jeszcze: „Wiek rozum” Paine’a, „Zasady moralności” Hume’a, „Wyznania pisarza” Machara, dzieła Lichtenbergera, „Nieboską komedję” Krasniskiego, „Kaina”, „Manfreda” i „Don Juana” Byrona, „Eugeniusza Oniegię” Puszkina, nowelę Garszina.

Rocznica śmierci Gongory. Dn. 24 maja b. r. przypada trzecie rocznica śmierci Ludwika de Gongora y Argote, twórcy kwiecistego stylu hiszpańskiego (gongoryzm). Rocznicą będzie uroczystość obchodzona przez akademię hiszpańską.

Fernán Caballero. Dn. 7 kwietnia b. r. upłynęło pięćdziesiąt lat od śmierci Cecylii Böhl de Faber y Larrea, prababki współczesnej powieści hiszpańskiej, która drukowała pod pseudonimem Fernán Caballero. Zrodzona z ojca Niemca i z matki Hiszpanki, Fernán Caballero pisała po niemiecku, po francusku i po hiszpańsku.

Pomnik Carducciego. Pomnik Carducciego w Bolonii prawie już został ukończony. Olbrzymi ten monument składa się z szeregu grub rzeźbionych, połączonych architektura, tak że stanowi rodzaj mauzoleum.

Pisma Szweczeni. W nakładzie Ukraińskiej Akademii Nauk ukazało się czterotomowe wydanie pism wszystkich Szweczeni.

Podróże d’Unamuna. D’Unamuno wygłosił w ciągu kwietnia b. r. szereg odczytów w Niemczech i w Szwajcarii.

Nowe powieści Baroja. Pojawiły się dwie nowe powieści Pia Baroja p. t. „Kaprysty losu” i „Późna miłość”.

Nowa książka Zuzanny Glaspell. U Ernesta Benn ukazała się nowa książka Zuzanny Glaspell „The Road to the Temple”. Jest to biografia jej męża, C. C. Cooka, który zrezygnował z wielkiej kariery w Ameryce, aby żyć jako prosty pasterz w Grecji. Po jego śmierci rząd grecki wystawił mu pomnik z jednej z kolumn dawnej świątyni delfickiej.

Widowiska klasyczne. Program widowisk klasycznych w Syrakuzach, w Pompei i w Ostii na b. r. został już ustalony. W Syrakuzach wystawiona będzie „Medea”, „Cyklop” Eurypidesa oraz „Chmury” Arystofanesa, w Pompei — „Alcesta” Eurypidesa, w Ostii — „Antygona” Sofoklesa i „Siedmiu pod Tebami” Ajschylosa.

Teatr włoski w Paryżu. Stały teatr włoski ma powstać w Paryżu.

Nagrody za prace z dziedziny kina. Prezes „Universal Pictures Corporations” ufundował szereg nagród w wysokości 5.000 dolarów za najlepsze prace z dziedziny kina. Prezes francuskiego syndykatu filmowego przeznaczył 25.000 franków na nagrodę za najlepszy film francuski każdorocznej produkcji.

Filmy amerykańskie w Europie. W pierwszych trzech kwartałach 1926 r. Europa wiozła 49.348.411 stóp filmu amerykańskiego. Jest to znaczny spadek wobec 69.968.317 stóp w tym samym okresie czasu w r. 1925.

Psilandrowska rocznica. Dn. 6 marca b. r. upłynęło 10 lat od śmierci Walde-mara Psilander, słynnego aktora filmowego epoki przedwojennej. Nazwisko Psilandra jest ściśle związane z rozwojem filmu skandynawskiego.

„Wachlarz lady Windermere” na filmie. Lubicz sfilmował w Hollywood sztukę Wilde’a „Wachlarz lady Windermere”.

Elżbieta Bergner jako Anna Karenina. Buchowiecki zaproponował Elżbiecie Bergner tytułową rolę w filmie według powieści Tolstoja „Anna Karenina”.

Zarobki reżyserów. Murnau przedłużył swój kontrakt z Fox-Filmem z gażą 5.000 dolarów tygodniowo.

Gdzie powinny spocząć szczątki Słowackiego?

Ankieta „Wiadomości Literackich”

JAN PARANDOWSKI

Dobrze się stało, że rząd rozstrzygnął nareszcie sprawę przewiezienia prochów Słowackiego. Zbyt długo kłócono się nad tym smutnym grobem. Obnoszono go po różnych miejscach Polski: po górach, polach i kościołach. Jeśli zawsze przeważała myśl o Wawelu, to dlatego, że była najprostsza, najgłodsza, i nikt nie potrafił je osłabić ani jednym argumentem, stanowczym i przekonującym. Wawel powinien stać się polskim Panteonem. Groby wielkich twórców wzbogacają tylko jego legendę.

K. W. ZAWODZINSKI

Nie wrywając się ze swoim, nikogo nie interesującym zdaniem w kwestii miejsca wiecznego spoczynku Słowackiego, chcę poprzeć stanowisko p. Jarosława Iwaszkiewicza paru argumentami, zaczerpniętymi ze starego notatnika Antoniego, bohatera jego powieści „Księżyc wschodzi”. Nie bez znaczenia są myśli i uczucia w tej sprawie bardzo inteligentnego chłopca, tak świetnie uwiecznionego z całą emocjonalną barwą ideą — przeżył, tęsknot metafizycznych, niepokojów religijnych i etycznych: jest on przecież reprezentantem nie tylko czolowej inteligencji polskiej z bojowego pogranicza Europy i Eurazji, z naszych ziem wschodnich, oczywisty Słowackiego, wspaniałej pępińery genjuszów polskich, rodzących się jak owoc najdoskonalszy i ostateczny władczego rozrostu polskości, pańskie i panujące na obszarze swego dawnego imperium, lecz także przedstawicielem tego pokolenia, dla którego, przed wojną, Słowacki był naprawdę żywym i wiecznym przeżywanym zagadnieniem. Że teraz, niestety, tak nie jest, stwierdza i p. Iwaszkiewicz w swoim głosie, potwierdza i zeszłoroczna polemika na tych łamach, krótko i niesłusznie zakończona paru pytkami proforskiemi pocenieniami i frechownem wierzeniem p. J. N. Millera. Lecz p. Iwaszkiewicz nie stargał łączącej go ze swą epoką i sferą pepowiny emocjonalnej pamięci i gdy wypowiada się w sprawie sprowadzenia zwłok Słowackiego, wydaje się tłumaczem uczuć swego bohatera, który tak się też przed 19 laty odzywał:

„Jestem przeciwnikiem całej tej chry. To ma posmak nekrofilii, brutalnej i zmysłowej, tak sprzecznej z istotą poezji Słowackiego, maniastyczna fetyszyzm. Ci, którzy gardząją z namietnością, przypominają zboczenia znośnego do swej sympialni damskie trzewiki; ci, którzy propagują na chłodno, zdają się nadawać biurokratyczne rangi nieboszczykom. Nie trzeba Obłęgorków pośmiertnych, lepiej zapomnienie. Słowacki ma prawo do „nieplakanej trumny”.

Tych relikwii nie powinny dotykać ręce ludzkie. Usprawiedliwiłbym raczej tego, co je dla zysku rysuje i sprzedawać będzie. Mogłyby emigrancie to symbol: to kopce graniczne oznaczające wolność na przedmiernym duchowego, tak jak w przedmiernym marzeniu Zółkiewskiego, w jego testamentie, „jeśliby padł za granicami Rzeczypospolitej, to tam, nad jego mogiłą usuty kopiec miał oznaczać nowe, szersze Polski rubieże”. Mogłyby emigrancie to stygmat na świat cały nałożony przez Polskę”.

Jakby na potwierdzenie tego argumentu, w wiele lat potem, gdy słowa te były napisane, znalazłem w listach Aleksandra Błoka (z 1911 r., więc kilka lat później) następującą, prawie dosłownie i identyczną ocenę znaczenia materialnych pamiątek emigracji polskiej: „...tajne wiarę patos słowiańskiego w pewnym zakątku Paryża (mowa o Bibliotece rolskiej)... tam jest położony znak”.

Jeśliby argumenty Iwaszkiewicza i jego bohatera nie miały przekonać sier decydujących, i jeśliby szczątki pośmiertne poety miały być sprowadzone do Polski, to niech mi wolno będzie przyłączyć swój głos do protestów, już przez tak kompetentne usta wygłoszonych, przeciw czytaniu w Wawelu panoptikum znakomitych ludzi, przeciw sadowieniu ich według raczej, według nadawanego oficjalnie „tytułu i charakteru”. Z trzech miast polskich, z którymi Słowackiego bytowa- nie ziemskie i poezja są związane, Krzemieniec byłby mu najbliższy, gdybyśmy go zapytali mogły i otrzymać odpowiedź. Może jednak ze względu państwowych i reprezentacyjnych zgodziłby się na Warszawę, z którą wewnętrzne pokrewieństwo jego gatunku psychicznego, tajne i niewytłumaczalne, jest większe niż to co daje się wyczytać w kilku ustępach dzieł jego. Lecz chyba tylko na Starem Mieście, nie przy spacerowym deptaku, w bliskim, „zielenych Kilińskiego oczu”, a nie zimmym lamp lukowych wśród bałnalnego parku.

Poezja sprawiedliwości społecznej i uczucia religijnego

ANATOLA STERNA

BIEG DO BIEGUNA

Wydawnictwo Księgarni F. HOESICKA

Jeszcze raz maczuga z floretem

„Man kann nicht mit einem Menschen fechten, dem man das Fechten erst beibringen muss” (Hebbel)

Pan Grubiński przyhaczył się do naszych butów nieostrożnie, — męczy się sam okrutnie, a nam przeszkadza w mozołnej i bezinteresownej pracy sędziowskiej. Korzystać z tego jednak jest ta, że racja konkursu i jego intencje coraz wypukle się odnawiają, choć nieco przedwczesnie. Ostatnie tyrpanie konkursu, urządzone przez p. Grubińskiego („ABC”, nr. 97, artykuł „But albo nie but”), pozwała nam wątpliwą przyjemność odwetu połączyć z wyjaśnieniami, które może będą już ostateczne. En passant parę uwag o metodach polemiki i perfidji, ponieważ i to wszystko w pewien szczególny sposób należy do atmosfery tego konkursu.

Wpierw zacytujmy ustęp ze sławnej „Dialektyki erystycznej” Schopenhauera, zawierającej rady satyryczne dla polemistów, którzy chcą na gwałt postawić na swoim:

„Chwył 14. Jest to finta bezwzględna, jeżeli po kilku pytaniach, na które przeciwnik odpowiedział bynajmniej nie na korzyść naszej tezy, przedstawiamy rzecz tak, jak gdyby konkluzja, którą chcieliśmy wydobyć, była już przez te odpowiedzi udowodniona, chociaż ona z nich wcale nie wynika, i z triumfem okrzykujemy zwycięstwo. Jeżeli przeciwnik jest nieśmiały albo głupi, a my mamy dużo bezczelności i tegi gos, może się to udać bardzo dobrze”.

Otóż stan obecny sprawy jest taki, że p. Grubiński triumfując ograł był swoje zwycięstwo, ponieważ za rzekomo sam się zarządzał, zabitem swoją tezę własną ręką. Przez co mianowicie? Ponieważ sam powiedziałem:

„Staff napisał piękny wiersz o łajnie — czyżby z tego wynikało, że można ogłosić konkurs na wiersz o łajnie?”

Pan Grubiński teraz na własną rękę, ale na mój rachunek tak rozumuje: „Pan Irzykowski ma słusność: z tego nie wynika, że należy ogłosić konkurs na wiersz o łajnie. Ale w takim razie, z czego wynika, że należy ogłaszać konkurs na nowelę o butach? Pan Irzykowski... własnym argumentem zabija konkurs”.

Zgóry można było oczekiwać, że taki umysł jak p. Grubińskiego zamiast uznać i uszanować to, że przeciwnik czyni mu chwiałową koncesję, aby uzyskać z nim wspólną platformę, i zamiast być wtedy specjalnie ostrożnym, — skwapliwie rzuci się na ten pozór i zakrzyknie: a-bel a co, nie mówię!?

Piszcie dalej: „Co jednak nie przeszkadza mu o kilka wierszy niżej zachwalać konkurs, wolać patetycznie: sto nowel o butach to nie jest sto par butów, lecz sto różnych światów... No dobrze, ale sto wierszy na temat owej wiersza to przecież także „sto różnych światów”. Nie? Ja myślę, że w obydwóch wypadkach obowiązuje ta sama logika”.

To proste jak parosol. Już was przekonał! Ale ja myślę, że literat to nie adwokat i powinien uwzględnić obfitość komplikacji, zawartych w życiu. Ja właśnie mam ambicję, że się tych komplikacji nie boję, że je prowokuję i wychodzę naprzeciw nich. Wciąż się u nas mówi o irracjonalizmie i przeciwstawia się go logice — ja chcę godzić jedno z drugim; ogłiska polega nie tylko na tem, że jeżeli a=b, b=c, to także a=c, lecz także na tem, żeby dokonywać nowych pojęciowych aneksji, rozkojarzeń i skojarzeń.

Np. coś może być śmieszne, ale bynajmniej nie ośmieszające; jedna rzecz może być równocześnie śmieszna i wzniosła (nie „un pas”, lecz równocześnie); każdy temat, pojęcie, wyobrażenie potrafi o różnej stery zainteresowań i może według tego wywoływać różne skojarzenia, dozwolne lub przynusowe.

Nigdzie nie powiedziałem, żeby nie można było ogłosić konkursu na wiersz o łajnie, — i jeżeli p. Grubiński świadomie podstawił mi takie twierdzenie, to dlatego że jest pewny, że ja nie zaprzeczę, lub jeśli zaprzeczę, to się skompromituje. Otóż — zaprzeczam, kompromituje się, i niech sobie p. Grubiński ma jeszcze raz kilkunastu durniów po swojej stronie, niech sobie znów wykroi to przyznanie dla „ABC” i wznieie okrzyk zwycięski. A więc można — teoretycznie można — ale:

1) poco opinie publicznej i nosy niepotrzebnie prowokować;

2) nam przecież nie szło o konkurs na byle jaki jeden temat, tylko o pewną kombinację tematów; ułożyliśmy mianowicie temo: temat etyczny, temat psychologiczny i temat przedmiotowy, — i szło o to, który gatunek zainteresowań literackich dziać przeważa. Ten cel został osiągnięty; okazało się, czego zresztą można się było zgóry spodziewać, że tematy przedmiotowe są dziś gorą. Ale co to p. Grubińskiego obchodzi — on się uczył tylko butów, jak gdyby to był jedyny cel konkursu a nie 1/3 celu.

Powiada mój przeciwnik: „a o kilka wierszy niżej Irzykowski zachwala konkurs na buty — gdzie logika?” Otóż właśnie chodzi o to, co było zawarte w tych nie kilku lecz kilkunastu wierszach, a co Pan przed swoimi czytelnikami świadomie zataił. Tam było napisane o tem, że owa „śmieszność” należy do programu, że kwestja nie kończy się z chwilą znalezienia pierwszego dowcipu, że „cała ta humorystyka jest złudzeniem, gdyż sto nowel o butach” i t. d. (tych parę słów Pan zataił i zacytował dopiero „sto” — dlaczego? — bo czytelnicyby jednak coś przewychali).

Ze temat butów dopuszcza pewne śmieszne skojarzenia, to nie jest pomyłką, to jest właśnie jedną z jego ingrediencji specjalnych, — szło też o to, czy kto tej specjalności tematu sprostą. Pan Gru-

biński zresztą uznał już sam, że sama jakosć tematu nie jest śmieszna, tylko częstotliwość, powtarzanie. Lecz zamiast tę myśl kontynuować, ma ambicję szermierczą, by — jak się to mówi — zabić mnie moją własną bronią. Należało odpowiedzieć na wszczętą przeze mnie kwestję, czy 10 pieśni o miłości w turnieju trubadurów są też śmieszne. Jeżeli nie są, to czy jednak jakosć (względna śmieszność lub niesmieszność) samego tematu nie wpływa na śmieszność lub niesmieszność przy nagromadzeniu, i t. d. Bergson w studium o śmiechu twierdzi, że samo nagromadzenie lub powtarzanie się wszelkich jednorodnych rzeczy jest śmieszne, lecz to jest najslabszy punkt jego teorii.

Wreszcie śmieszność mogłaby leżeć w równoczesnej masowej fabrykacji utworów na pewien temat, i to na t. zw. komendę. Ale najpierw — co już raz było powiedziane — konkurs apeluje do tych, w których podane tematy budzą pewne już gotowe myśli i którzyby się bez takiego impulsu może nigdy z tem nie wypowiedzieli, — a grafomani wszędzie przepłatać się mogą. Powtóre zaś taka masowa fabrykacja jest zjawiskiem podobnym, jak pewne epoki i mody literackie, kiedy nieraz jak pod hipnozą dużo ludzi pisze utwory na ten sam temat: Araba (romantyzm), inżyniera lub lekarza (modernizm), Murzyna (dziś). Inicjatorzy konkursu w sposób sztuczny wywołali w miniaturze podobne zjawisko, i na tem polega ich eksperyment.

W tych kierunkach mogła się rozwinąć rzetelna i rzeczowa dyskusja, gdyby p. Grubiński, uważając siebie za eleganckiego mistrza floretu a mnie tylko za prostackiego maczugę (tak pisał kilka lat temu z okazji mojej krytyki „Kochanków”), zrezygnował z pozwowania na zręczności polemiste i wdał się w rozważanie rzeczy samej. Ale w Polsce jest już dość dużo ludzi, którzy patrzą szermierzom na palce i wszelkie szachrajstwa wyczuja.

Też jego było: że ten konkurs to kpinę z literatury („ABC”, nr. 27), — lecz tezy nie udowodnił, bo sam w nią nie wierzył. Gdyby wierzył i gdyby umiał być sobą, t. j. idealnym Grubińskim, a nie — dość niespodziewanie — pedantycznym celnikiem na komorze literackiej, toby nas nie przesłał, lecz do spółki z nami cieszyłby się z tego konkursu jak z kapitalnego kawatu: z kópieńkiady literackiej. (Tu znowu Irzykowski zabija sam siebie?). Nie wyobrażam sobie, żeby inteligentny Francuz — a takim chce być p. Grubiński — mógł robić wogóle gwałt o takie drobne odchylenie od monotonii starych form życia literackiego.

W końcu skarży się p. Grubiński, jakobym ja walczył epitetami, nie argumentami, i stwierdza, że ani razu nie użył w swojej polemice o mnie takich wyrażań, jak: „udaje”, „płytki”, „kabarolowy umysł”, „postępuję niełojalnie”. I słusznie, bo gdyby np. powiedział, że jestem niełojalny lub kabarolowy, niktby mu nie uwierzył, i p. Grubiński nie mógłby takiej kwalifikacji poprzeć żadnym przykładem, podczas gdy ja za każdym razem przytaczam: ponieważ to a to. Natomiast wciąż bojaźliwie zataja p. Grubiński przed swymi czytelnikami, że mu kilkanaście razy wytknęłam: fałszuje Pan prawdę, zataja Pan to a to „ostrożnie!”

Tak np. cytując moją metaforę o posłańcu, który grzęźnie w pierwszej karczmarce przy drodze, zamiast jechać z ważną sprawą, zataja p. Grubiński, że to porównanie ma tylko uplastyczniać rodzaj umysłowości goniący za dowcipem, i przedstawia rzecz niemal tak jakbym to jego posadał o prawdziwe upiśanie się — snąc wcale nie rozumie istoty porównania. Ale zato nie zataja, że moje artykuły są drukowane w „Wiadomościach” na ostatniej stronie — cieszy się z tego dziecinnie. Ale ja trafia Pana i stąd!

Gdzieindziej znów w pytaniu insynuuję mi, że chcę przeprowadzić swego kandydata. Jak to zakwalifikować, panie Grubiński, i co byś Pan z taką insynuacją zrobił na moim miejscu? Ja uważam, że to albo lapsus, albo że Pan chciał powiedzieć: nie kandydata już przed konkursem upatrzonego (taka insynuacja przyszła do nas w paru kartkach anonimowych), lecz kandydata, którego sobie w toku czytania nowel szczególnie upodobał.

Po czytej stronie jest lojalność? Zresztą ja stów „perfidja”, „lojalność” i „niełojalność” używam w specjalnym znaczeniu, określonym w mojej rozprawie o perfidji. Tam też na końcu powiadam: „Jak dotychczas zachowywał się człowiek zaatakowany perfidją? tak że tylko zaprzeczał... Ale jeżeli się chce torować drogę do wyższych form współzycia... lepiej jest stosować inną taktkę: przynawać, że tak jest, lecz że to nic nie szkodzi” — i tu właśnie zaczyna się gra komplikacyj życia. Pan Grubiński w polemice coła się na ciasny odcinek, bo tylko ten zdoła opanować; ja wychodzę na szerokie pole i bez wahania odślaniam nawet słabe strony swej sprawy, bo czuję, że ona jest słuszną, i jestem zadowolony, że dzięki przeciwnikowi zdołałem tę słuszną określić i ustalić. A na zakończenie jeszcze raz tak samo postąpię. Otóż szczyd p. Grubiński to mnie, że się gniewam, a gniew piękności szkodzi. Tak jest, gniewam się i nawet burzam, i sadzę, że tylko ten gniew, nie na p. Grubińskiego jako osobę, lecz jako typ umysłowy, zwany w Malopolce „warszawista”, tylko ten gniew daje mi prawo do zaprzatania tylokrrotnie uwagi publicznej moją polemiką. Natomiast p. Grubiński, który zupełnie na zimno, niepotrzebnie rzuca kamienie do cudzego podwórka, przeszkadza nam w naszej skromnej i może pożytecznej robocie i że 140 ludzi rąbać zrobi 140 ofiar jakiegoś bzika — jak się takie postępowanie nazywa i na co zasługuje?

Karol Irzykowski.

WOWRO CZY BEETHOVEN?

Witold Hulewicz. Przybłąda Boży. Beethoven. Czyni i człowiek. Okładka według rysunku Stanisława Matusiaka. Poznań, Księgarnia św. Wojciecha (1927); str. 10 nl. i 385 i 3 nl. i tabl. 1.

Przybłąda Boży? A więc znowu jakiś łoś, Wówro z Beskidu, łamigat czy drucigrat podniesiony do godności symbolu rozmowy człowieka z Bogiem? Znowu skłamanie na Pana zastępów nie-ludzkim językiem? Znowu Chrystusowe w sadu posiadły?

Ależ nie! To rzecz o Ludwiku Beethovenie! Ładny interes! Ten to gigant, samotnik, potężny starzec, ale i szelma łachmann, jakiego darmoby się w owej epoce szukało, bestia zadzierzasta i pracowita, kanciasty zuchwalec, co prawda książętom i hrabiom kawały, wycierając u nich jednocześnie kąt, czerstwy i zapalony, suchy i nieprzyjemny, matchmiony i potężny, — nazwany został przez autora polskiej o nim monografii „przybłądą”. Pachnie to skandalem i wonnami Gorznień!

Po tytule — dedykacja: czy może być coś bardziej pretensjonalnego i nieszczerzego jak tych kilka słów quasi-poetyckich, które sporą książkę o Beethovenie oddają w szanowne i kochane ręce matczyne. Nazywanie najprostszych i najgłębszych uczuć dziwacznie ustawionymi słowami musi razić i zniechęcać.

To też i do książek bierzemy się z nie-ufnością, odczytawszy taki tytuł i taką dedykację: mamy mocne podejrzenie, że ten, kto nazwał Beethovena „przybłądą”, bardzo mało rozumie genialnego muzyka. Tymczasem tak nie jest. Pan Hulewicz ma wszelkie kwalifikacje na to, aby napisać dobrą książkę o Beethovenie. Ma doskonałą znajomość przedmiotu, kontakt jak najistotniejszy z żywą materią twórczości Beethovena, duże zrozumienie tego, czym jest muzyka, ukochanie najszybciej sztuki i jej wybitnego przedstawiciela. Wszystko to, niestety, tonie w morzu częściej frazeologii i braku prostoty, doprowadzającym czytelnika prawdziwie do rozpacz. Opowieść swą Hulewicz utrzymuje na pograniczu monografii muzycznej a owej „wie romancée” czy „roman vécu”, modnej obecnie we Francji. Z dawnego hulewiczowskiego ekspresjonizmu została forma prawie dramatyczna, dająca szereg luźnych obrazów, mających wypunktować pojęcie o życiu i twórczości Beethovena. Czasami taka scena przetrwała się w monologu wkładanym w usta niemieckiego muzyka. I to są miejsca najgorsze! Nieprawdopodobny fałsz tych monologów krew mrozi w żylach.

W swych sądach muzycznych Hulewicz także jest niezbyt literacki i poetycki. Nie rozumiał on pod tym względem genialnych słów Beethovena, które sam zresztą przytacza: „Niespodziane efekty, przypisywane naturalnemu geniuszowi kompozytora, osiąga się często bardzo łatwo przez właściwe stosowanie i rozwiązywanie zmniejszonych akordów septymowych”. Zda się, że raczej w zbadaniu owego „stosowania i rozwiązywania akordów septymowych” leży zadanie piszącego o Beethovenie. Wszak na tem „właściwym” rozwiązywaniu akordów septymowych polega wielkość muzyki i Beethovena i Chopina i wszystkich wielkich i największych. Pierwsiastki muzyczne wchodzi w grę ich twórczości, nie żadne inne. Beethoven pisze akordami, a nie perfumą kwiatów, blaskiem słońca, zapachem wody. To są rzeczy dla muzyki wtórne i nieistotne: treścią jej jest *właściwość* i t. d. *Właściwość*! Na tej właściwości polega ich twórcza tajemnica, którą staramy się zrozumieć. Tymczasem Hulewicz mówi o sonacie cis-moll: „Odblask niewypianych żręć, niewymówionych słów brzęk rozłożony, akord modlitw niemożliwych, bo taka modlitwa to stworzone sercem szukanie bóstwa pod każdym listeczkiem, za przysadzistym krzakiem, co w nocy bezszmernej przysiadł się i mówi „hul!” — w każdym odczytanym hieroglifie dźwiędła galezi na tle mniej czarnej, symetrycznej kopuły nieba, w głazie, co się zgubił i zmoczył obduził pośrodku strumienia i krzywdę mu czyni i już wyjść nie może. I niema zdziła, co się nie żaliło”. Straszne! Mimowoli dusza czytelnika otrząsa się i mówi: „hul!” Albo znowuż takie określenie „Adagio” z sonaty „für Hammerclavier”: „Tak właśnie, tak brzmiał głos Syna Człowieczego: „Pójdźcie do mnie wszyscy obarczeni...”. Synte w jasnowidzeniu zanurzone fis-moll splata się z wybaczeniem g-dur w nadharmonię cudotwórczą. Niebyszał! Skąd ta pewność, że tak brzmiał głos Syna Człowieczego? Co znaczy „synte fis-moll”?

Niestety, w analizie czysto muzycznej p. Hulewicz nie wykazuje takiej siły, jak w „odtworzeniu” psychologii Beethovena i zbyt często muzyczne omówienia zastępuje nie mówiąc, a wątpliwej wartości „poetyczną” literaturą, której dwie próbki, wprawdzie najgorsze, podaliśmy powyżej. Popelina też szereg błędów: tak np. akord a-his, dis, fis, a — nazywa akordem h-dur (str. 277).

Ogromna stała się szkoda. Monografii Beethovena bardzo brakowało naszej literaturze. Rocznicą wielkiego muzyka powinna była być dla nas w tym względzie jakieś wartościowe dzieło. Hulewicz powołany był do tego oczywiście. Nieszczerne jednak manery stylu i wychowania zdrowo — zęgodłowiczowskie zapłaciły najlepsze zamierzenia w taki gąszcz quasi-poetyckości, w takie nawarstwienia nieszczerzego duchowania (czy tu również nie czuć ręki „Reduty”?), że cały wysiłek poszedł na marne, a czterystostronicowa książka nie zasługuje nawet na przeczytanie. Szkoda.

Jarosław Iwaszkiewicz

POWIEŚĆ I NOWELA

Stefan Godlewski. Grabinka. Warszawa, F. Hoessick, 1927; str. 147 i 5 nl.

Książka Godlewskiego interesuje ze względu na swą formę. Zawiera dwie nowele, dużo wierszy oryginalnych, trochę przekładów — wszystko ujęte w pewną całość.

Najciekawsza jest pierwsza nowela, która nadaje tytuł całej książce. Czyni w niej Godlewski próbę „mitologizacji”, jeżeli tak się można wyrazić, historii.



STEFAN GODLEWSKI

Pierwszy ten krok stworzenia z czasów panowania Stanisława Augusta — legendy można uznać za bardzo udatny. Traktowanie mitycznych „królów Stasia” jako postaci całkiem fantastycznych, Ryx jako obywatela, a rotmistrz Boulaft jako chłopaka, przemawiają do przekonania. Piękne przetworzenie Łazienek w mieszkaniu króla i syreny wydaje nam się prosto koniecznością dziejową. Pan Godlewski doskonale ujął cały czar tej niezbyt odległej epoki i zabarwiłszy go bajką, przybliżył ją nam raczej, niż oddalił. Przypadek Jacka Wolskiego i bawi nas i śmieszy i wzrusza. Przypadek ten, że po przeczytaniu bajki Godlewskiego innemu okiem będę spoglądał na odbicie pałacu Łazienkowski w stawie.

W „Wierszach Jacka Wolskiego” to i owo czytamy z prawdziwą przyjemnością. Są one pod wyraźnym wpływem farsucskim. Z Herdii wzięła swoją „statynność” i konkretność. Są zawsze opisem jednego (lub szeregu) obrazów, i li-rizm tylko z zestawienia tych obrazów niejako szparami wycieka. Przytem opowiadanie formy posunięte do wysokiego stopnia, — nie zawsze zresztą równe, — czasami daje efekty doskonałe, jak np. w „Łowach”.

„Nowela „N. D. D. P.” w tem stadium w jakim się znajduje jest i przykra i słaba. Opis przetworzenia Notre Dame de Paris na music-hall niezmiernie nieprzyjemny; tembardziej, że bez żadnych konsekwencji.

Przekłady staranne, ale bez polotu.

ji.

Biblioteka Laureatów Nobla pod redakcją dra Stanisława Lema. Tom 41. W. B. Yeats. Opowiadania o Hanrahanie Rudym. Tajemnicza róża. Rosa alchemica. Przekład z angielskiego Józefa Birkenmajera. (Okładka Czerpera). Poznań, Wydawnictwo Polskie, 1925; str. XIX i 1 nl. i 221 i 3 nl.

„Opowiadania o Hanrahanie Rudym” wyszły już poprzednio w przekładzie Miriamy-Przesmyckiej, opartym na pierwszym wydaniu, zmienionem później zasadniczo przez Yeatsa. Pan Birkenmajer



W. B. YEATS

tłumaczył więc tekst prawie całkowicie nowy. Porównanie tych dwóch wersyj wykazuje, że zmiany poczynione zostały w kierunku bardzo określonym. Poprzednio historia galickiego poety Hanrahana Rudego podana była raczej naturalistycznie — świat baśniowy ujęty był jakby w cudzoziłowy, pojawiał się zewnątrz „Hanrahana”, przemycany furtkami przywiedzi i halucynacji.

Różnice w traktowaniu zaznaczają się zwłaszcza w pierwszym rozdziale, opisującym rozbrat Hanrahana z życiem realnym. Świat czarów panuje tu już z siłą zjawiska zupełnie obiektywnego — jak w baśniach i klechdach. Świat Yeatsa to świat zabobonu, a właściwie niezmiernie wyrafinowanego estetyzowania na zabobonie. Surowa dowolność klechdy w cyklu „Tajemnicza róża” opisuje wdziek bezsilności, łagodzący wolę przypadek.

Kluczem współczesnym do dwóch poprzednich cykli jest „Rosa alchemica” uniesienia i ekstazy mistyczne ludzi „zmożonych życiem” i brutalna rzeczywistość ocknienia, wszystko to pozostawione w cieniu i niedopowiedziane — a wreszcie usunięte ze wspomnień, aby można było marzyć tem swobodniej.

Język przekładu naogół staranny, ale niezawsze przemysłany. Tłumacz archaizuje, wstawia ludowe słowa w sposób dość przypadkowy. Np. gdy pisze: „niekiedy mu się wydawało, że umysł mu tak już oziębał jak kulasy” — to inteligencki umysł kłóci się z ludowymi kulasami. Przekład wierszy ustępuje o wiele przekładowi Miriamy. Są naciągnięcia, ni-ciem nieuzasadnione dowolności, jak np.: „W nas męstwo nasze — podruzgotane jak stare pnie od tucz (?)”.

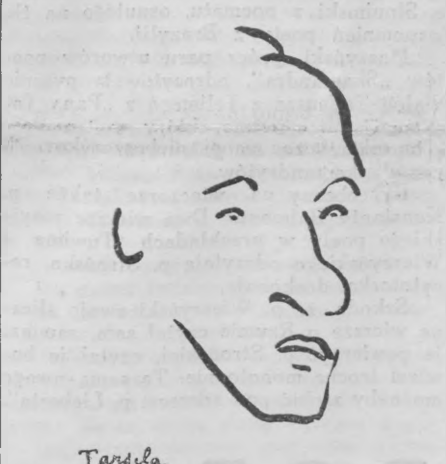
Tłumaczenia wierszowanych wstawek stanowiąc zyskałyby na skorygowaniu go przez poetę. Wiersze Yeatsa nie zasługują na taki przekład z pewnością.

ej.

Biblioteka Dzieł Wyborowych. Redaktor Feliks Gadomski. Tom 122. Błażej Cendrars. Złoto. Przedziwna historia generała J. A. Sutura. Przetłóżyła z francuskiego U. Komierowska. Warszawa, 1927; str. 125 i 3 nl.

„Złoto” — „przedziwna historia generała J. A. Sutura”, jak ją określa autor w podtytule. Przedziwna ta tkwi raczej w ogromnym powiększeniu dystansu pomiędzy czytelnikiem a bohaterem, niż w samych perypetyjach życiowych Sutura. Widzi się go jak gdyby przez pomniejszające szkła, pierwiastek współczucia z cierpiącym jest niemal wyeliminowany. Niem tu nic z podsuszania czytelnikowi myśli, że jakaś sytuacja jest romantyczna, patetyczna lub ogólnoludzka. Jest to raczej obiektywizacja absolutna przeżyć, podciągnięcie pod jeden strychulec bezadziejnej opowieści. Historia powstania San-Francisco na ruinach majątku Sutura, na którego gruncie znalazł się złoto, — oraz obraz szaleństwa, w jaki wpadł po ruinie, — są literacką doróbką faktów rzeczywistych. Jan August Suter procesował się z rządem Stanów Zjednoczonych, pragnąc odzyskać chociażby równowartość utraconego majątku, ale zginął w nędzy i zapomnieniu.

Nie chodzi tu o pieniądze, a może nawet nie o złoto, ale o dramat bez dra-



BLAISE CENDRARS

matyzacji, t. zn. bez podkreślenia autora, wątek idealny, który się sam z siebie wysnuwałby, nie potrzebując stylistycznej pomocy podpisującego go autora, dramat, który można byłoby nazwać naturalnym. W takiej inscenizacji autentyczność traci swą sensacyjną bezpośredniość, staje się czystą, nie do życiowego stosowania — literaturą. Można przypuścić, że „Złoto” jest zbudowane na wzór filmu, na zasadzie klasycznej amerykańskiej recepty: scena — metr. Gdyby tak było, w literaturze dałoby się ustanowić nowe prawo harmonii, dotychczas zresztą już znane, ale nie stosowane świadomie, mianowicie: nie pozwalać na całkowite wyeksploatowanie sytuacji, pozostawić zawsze pewne rezerwy. Cendrars robi to świadomie.

hr.

Współczesna Beletrystyka Rosyjska. Tom 1. Wsiewołod Iwanow. Powrót Buddy. Zbiegła wyspa. Przekład z rosyjskiego Jana Barskiego. Warszawa, „Alfa”, 1927; str. 4 nl. i 168 i 4 nl.

„Powrót Buddy” jest to historia przymusowej podróży profesora Safonowa do Mongolji celem odwiezienia posągu Buddy, odebranego niegdyś Mongolom przez rząd carski. Jeden z wielu przypadkowych dekretołów któregoś tam z rewolucyjnych komisariatów wtrąca sędziwego, spokojnego naukowca w wir burzliwych wypadków. W założeniu — zwrot rzeczono-go posągu ma pozyskać dla rewolucji pólbarzyńskie szczepu mongolskie, ma być wyrazem kulturalnej tolerancji władz rewolucyjnych; w praktyce — ekspedycja ta jest rezultatem intrygi niejakiego Dawa Dordzi, Mongola, wykształconego w Rosji, ex-officera, który pod pokostem cywilizacji europejskiej ukrywa marzenia potomka chanów i hygena, t. j. wcielonego Buddy. Ta mieszanina pierwiastków kulturalnych-europejskiego i azjatyckiego — jest charakterystyczna dla Wsiewołoda Iwanowa, czerpiącego motywy naj-

częściej z syberyjskiego pogranicza kultury. Niesłychane trudy, choroba, dezercja personelu, złożonego z Mongołów, brak wszelkiej pomocy, wojna domowa, szalejąca na terenach, przez które ma być wieziony Budda, — wszystko to uniemożliwia przedsięwzięcie, doprowadza je do absurdu. I wówczas stary, prawie niedołężny, zgębiony głodem i dokonywającym się nad nim gwałtem profesor Safonow znajduje w sobie siłę moralną, żeby chytremu i podłemu Dawa Dordzi powiedzieć to, co było rezultatem rozmyślań w czasie długotrwałej i bezcelowej udręki.

— Rozwiązanie, Dawa Dordzi. Jako przeciwwagę bezkłej, dzikiej ciemności, wysuniemy, omyty europejską badawczością, błogostawiony, uparty pochód na-



WSIEWOŁOD IWANOW

przód... Narazie nie wiem dokąd... lecz choćby nawet wieść Buddę poprzez wodospady... zarazę i głód... Nie znam podobek, które gnają was naprzód, dla mnie są niemi: kultura i cywilizacja, wieczna myśl, pijana zawsze własną wolą... ja z wami!..

To naiwne i szlachetne wyznanie wiary kulturalnego Europejczyka, ginącego w pustyni na dobrowolnie obranym posterunku, jest miarą tego, co Iwanow i inni pisarze pragną dokonać w życiu nowej Rosji.

„Zbiegła wyspa” jest opowiadaniem z innych czasów i jakby z innego świata. Prześladowany przez rząd carski sekcja-rze-starowiercy chronią się na wyspę wśród niedostępnych błot Syberji, tam zakładają osadę i wiodą życie najzupełniej izolowane od całego świata, kulturowo najdziwniejsze przesady i zabobony. Opis tego dziwotworu społecznego i jego zniknięcia się z nowym światem, z porowolucyjną Rosją, daje mocne efekty literackie i pozwala lepiej poznać barwny, żywiołowy styl Iwanowa.

„Powrót Buddy” wraz z „Zbiegłą wyspą” to dobre początek działalności, mającej za cel przyswojenie literaturze polskiej tych utworów rosyjskich, które zasługują na poznanie.

Przekład dobry.

wb.

Świat Podróży i Przygód pod redakcją Czesława Kędzińskiego. Tom IV. Artur Howden Smith. Złoto z Porte Bello. Przetłóżył z angielskiego Józef Birkenmajer. (Okładka Czerpera). Poznań, Wydawnictwo Polskie, 1926; str. 8 nl. i 367 i 1 nl.

Artur Howden Smith napisał dalszy ciąg „Wyspy skarbów” Stevensona, jednak czyta się ta powieść jako rzecz zupełnie oderwana od Stevensona, mocna i przyjemna. Jest w bohaterach, szczególnie w grubym Piotrze, coś z postaci Conrada, zawartość głęboka i dziwna pod obojętną, ciętą powłoką. Jest to maniera raczej nowoczesna, odbiegająca od romantycznej szabloności, operująca fizjognomiką jako wiedzą o duszy człowieka, a wla-



ARTUR HOWDEN SMITH

ściwie metoposkopią — sztuką rozpoznawania charakteru człowieka z twarzy. W takim stosunku do człowieka jest więcej zdziwienia wobec życia nie dającego się uchwycić w formy.

„Złoto z Porte Bello” można czytać, nie znając „Wyspy skarbów”. Dowodzi to tylko, że nie wystarczy wiać bohaterów jakiejś powieści, połączyc ich w działaniu, by dać jej dalszy ciąg. Sam tłumacz w przedmowie niebardzo się upiera przy stwierdzaniu tego związku, przechodząc nad nim do innych spraw.

hr.

OSTATNIE DWA TYGODNIE

Drugi wielki plebiscyt czytelników „Wiadomości Literackich”

Dwanaście najwybitniejszych utworów żyjących autorów polskich

1. Plebiscyt polega na głosowaniu na dwanaście utworów żyjących autorów polskich, utworów — w przekonaniu biorącego udział w plebiscycie — najwybitniejszych. Można głosować zarówno na utwory beletrystyczne, poetyckie, dramatyczne, jak na prace z zakresu historii literatury, historii sztuki, historii politycznej i t. p. Zakres i wybór najszerszy.

2. Porządek utworów na przesłanej liście gra dużą rolę. Utwór znajdujący się na pierwszym miejscu otrzymuje w obliczeniu 12 punktów, utwór znajdujący się na drugim — 11, na trzecim — 10 i t. d. Należy więc zacząć listę od utworu najwybitniejszego i kolejno wpisywać utwory mniej wybitne.

3. Głosuje się na dwanaście utworów. W razie podania większej ilości tytułów nadwyżkowe skreślone będą od końca listy. Nie wolno jest oddawać po kilka głosów na jeden utwór; natomiast wolno jest głosować na dowolną ilość różnych utworów jednego pisarza.

4. Głosowanie jest zasadniczo jawne, w odpowiedzi należy podać nazwisko i dokładny adres. Wolno jest również składać głosy bezimiennie, w tym wypadku atoli należy dołączyć zapieczętowaną kopertę z nazwiskiem i adresem; koperta ta będzie otwarta tylko w razie przyznania nagrody głosującemu.

5. Do każdej odpowiedzi musi być dołączony jeden z kuponów, wyciętych z „Wiadomości Literackich”; kupony te znajdować się będą w nr. nr. 14, 15, 16, 17, 18 i 19 „Wiadomości”.

6. Odpowiedzi należy przysyłać pod adresem redakcji „Wiadomości Literackich” (Warszawa, Złota 8) do dn. 12 maja b. r. włącznie, przy-czem obowiązuje data stempla pocztowego. Rezultaty konkursu ogłoszone będą w numerze z dn. 22 maja b. r.

Lista nagród:

1. Nagroda „Wiadomości Literackich”	200.—	47. Tarnawski. Z Anglii współczesnej. Ossolineum	10.—
2. Książki do wyboru z zakresu literatury z nakładów własnych. F. Hoessick	100.—	48. Przybyszewski. Moi współcześni. „Biblioteka Polska”	9.80
3. „Biblioteka Narodowa”, seria II, tomów 40. Krakowska Spółka Wydawnicza	93.80	49. Kossak — Szczucka. Kłopoty Kacperka, górceckiego skrzata. Krakowska Spółka Wydawnicza	9.40
4. Grecja i Rzym. Budownictwo, plastyka, krajobraz. 2 albumy oprowne w płót. J. Morkowicz	85.—	50. Kossak — Szczucka. Pożoga. Dto	9.—
5. Książki do wyboru z zakresu literatury z nakładów własnych. F. Hoessick	50.—	51. Kot. Andrzej Frycz Modrzewski. Dto	9.—
6. Biblioteka „Iskier”, tomów 11. Książnica-Atlas	47.30	52. Pałzderski. Poznań. Książnica-Atlas	9.—
7. Grabowski. Podróż, tomów 3. Gebethner i Wolff	42.—	53. K. Morawski. Rzym. Krakowska Spółka Wydawnicza	8.40
8. Monografie Artystyczne pod redakcją Tretera, tomów 10. Dto	35.—	54. Szykowski. Dzieje nowożytnej tragedii. Dto	8.40
9. Platon. Pisma. Przekład Witwickiego, tomów 7. Książnica-Atlas	35.—	55. Leleweł. Pamiętnik z r. 1830—31. „Biblioteka Polska”	8.—
10 — 12. Książki do wyboru z zakresu literatury z nakładów własnych. F. Hoessick. Po	30.—	56. K. Wojciechowski. Dzieje literatury polskiej. Książnica-Atlas	8.—
13. Treter i Wasylewski. Sylwetki portretowe z czasów Stanisława Augusta. Ossolineum	30.—	57. Askenazy. Gdańsk a Polska. Gebethner i Wolff	7.50
14. Ossendowski. Od szczytu do otchłani. Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów. W ludzkiej i leśnej kniei (tomów 3). Gebethner i Wolff	26.80	58. Bartkiewicz. Polityka w lesie. Dto	7.50
15. Hoene-Wronski. Prolegomena do mesjanizmu, tomów 3. Książnica-Atlas	25.—	59. Hoessick. Paryż. Dto	7.50
16. Piłat. Historia literatury polskiej, t. I. części 2. Gebethner i Wolff	25.—	60. Kotarbiński. Dto	7.50
17. Sokolnicki. Polska w pamiętnikach wielkiej wojny. „Biblioteka Polska”	25.—	61. Treter. Fałat. Dto	7.50
18. Dzieje Polski średniowiecznej, tomów 2. Krakowska Spółka Wydawnicza	24.—	62. Kucharski. Fredro a komedia obca. Krakowska Spółka Wydawnicza	7.—
19. Niewiadomski. Malarstwo polskie XIX i XX w. M. Arct	22.—	63. Lutostawski. Nieśmiertelność duszy. M. Arct.	7.—
20. Bobrzyński. Szkice i studia historyczne, tomów 2. Krakowska Spółka Wydawnicza	20.—	64. Kossak — Szczucka. Wielcy i mali. Krakowska Spółka Wydawnicza	7.—
21 — 23. Książki do wyboru z zakresu literatury z nakładów własnych. F. Hoessick. Po	20.—	65. Potocki. Polska literatura współczesna, tomów 2. Gebethner i Wolff	7.—
24. St. Morawski. Kilka lat młodości mojej w Wilnie. „Biblioteka Polska”	20.—	66. Windakiewicz. Dzieje Wawelu. Krakowska Spółka Wydawnicza	6.80
25. Niewiadomski. Wiedza o sztuce. Trzaska, Evert i Michalski. Wydanie wytworne. M. Arct	20.—	67. Mierostawski. Pamiętnik z lat 1861—63. „Biblioteka Polska”	6.60
26. Kridl. Literatura polska XIX w., tomów 3. Dto	18.30	68. Morawski Z. Sacco di Roma. Krakowska Spółka Wydawnicza	6.60
27. Treter. Nieznany cykl Artura Grottingera Warszawa II. Książnica — Atlas	16.—	69. Boy. Flirt z Melpomeną. Gebethner i Wolff	6.50
28. Baudelaire. Kwiaty zła. Przekład Wydzgi. Gebethner i Wolff	15.—	70. Piłsudski. Moje pierwsze boje. „Biblioteka Polska”	6.50
29. Handelsman. Rozwój narodowości nowoczesnej, tomów 2. Dto	15.—	71. Trettak J. Historia wojny cho-cimskiej. Krakowska Spółka Wydawnicza	6.50
30. Przychocki. Plautus. Krakowska Spółka Wydawnicza	15.—	72. Morstin. W kraju Latynów. Dto	6.40
31. Semkowicz A. Wydania dzieł Adama Mickiewicza w ciągu stulecia. Książnica-Atlas	15.—	73. Windakiewicz. Piotr Skarga. Dto	6.40
32. Gerson — Dąbrowska. Polscy artyści. Gebethner i Wolff	14.—	74. Chojnowski. Młodość, miłość, awantura. Gebethner i Wolff	6.—
33. Dunin — Kozička. Burza od Wschodu. Krakowska Spółka Wydawnicza	14.—	75. A. L. Czerny. Antologia nowej liryki francuskiej. Ossolineum	6.—
34. Kridl. Antagonizm wieszczów. M. Arct	14.—	76. Perzyński. Nie było nas był las. Gebethner i Wolff	6.—
35. Lednicki W. Puszkina. Krakowska Spółka Wydawnicza	14.—	77. Perzyński. Raz w życiu. Dto	6.—
36. Mościcki. Z filareckiego świata. „Biblioteka Polska”	14.—	78 — 80. Ujeński. Antoni Malczewski. Trzaska, Evert i Michalski. Po	6.—
37. Z. Wasilewski. Jan Kasprzowicz. Mickiewicz. Współcześni (3 tomy). Gebethner i Wolff	13.—	81. Lisiecki. Nauka Platona o praby-cie duszy. Krakowska Spółka Wydawnicza	5.60
38. Kleiner. Juliusz Słowacki, tomów 2. Ossolineum	12.—	82. Ford. Moje życie i dzieło. „Biblioteka Polska”	5.50
39. O naśladowaniu Chrystusa, przekład Michalskiego — Iwierskiego. Trzaska, Evert i Michalski	12.—	83. Goetel. Z dnia na dzień. Gebethner i Wolff	5.50
40. Szczepański. Najstarsze cywilizacje Wschodu. Egea i Hatti. Książnica-Atlas	12.—	84. Kaden-Bandrowski. W cieniu zapomnianej olszyny. Ossolineum	5.40
41. Tatarakiewicz. Pieć studiów o Łazienkach Stanisława Augusta. Dto	12.—	85. Kołaczowski. Twórczość Jana Kasprzowicza. Krakowska Spółka Wydawnicza	5.40
42. Gerson — Dąbrowska. Wielcy artyści. Gebethner i Wolff	11.—	86. Chojnowski. Dom w śródmieściu. Gebethner i Wolff	5.—
43. Goetel. Przez pionący Wschód. Dto	10.50	87. Chojnowski. Kuźnia. Dto	5.—
44. Opieński. Chopin. Książnica-Atlas	10.50	88. Hoessick. „Siła fatalna” poezji Słowackiego. Krakowska Spółka Wydawnicza	5.—
45. Wilson. Kształtowanie losów świata, t. I. „Biblioteka Polska”	10.50	89. Makuszyński. Wycinanki. Gebethner i Wolff	5.—
		90. Morawski Z. Z odrodzenia wło-skiego. Krakowska Spółka Wydawnicza	5.—
		91. Or. — Ot. Stare Miasto. Gebethner i Wolff	5.—
		92. Sinko. Echa klasyczne w literaturze polskiej. Krakowska Spółka Wydawnicza	5.—
		93. Zorrilla. Don Juan Tenorio, przekład Miłostewskiego. Gebethner i Wolff	5.—
		94. Kaden-Bandrowski. Miasto mojej matki. Ossolineum	4.80
		95. Ar. Górski. Na nowym progu. Książnica-Atlas	4.50
		96. Iwaszkiewicz. Pejzaże sentymentalne. Gebethner i Wolff	4.50
		97. Orkan. Listy ze wsi, t. I	4.50
		98. Debicki. Podstawy kultury narodowej. Dto	4.—
		99. Kleiner. Szychy. Ossolineum	4.—
		100. Stonimski. Pod zwrotnikami. Gebethner i Wolff	4.—

Kupon do udziału w plebiscycie
„Wiadomości Literackich”
Dwanaście najważniejszych utworów
polskich autorów żyjących

Zygmunt Szpingier

Poznań, w kwietniu 1927.

Ostatnia wystawa w poznańskim Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych cieszy się wyjątkowym powodzeniem dzięki zainteresowaniu, jakie budzi Zygmunt Szpingier, młody malarz, Poznańczyk, po powrocie ze studiów paryskich pokazujący nam swój plon. Szpingiera, ucznia prof. Gosienickiego, znano u nas dotych-



ZYGMUNT SZPINGIER:
Typ z Montmartre'u

czas jako utalentowanego karykaturzystę i pomysłowego dekoratora, pracującego przez pewien czas w Teatrze Nowym. Szczególnie dekoracje do „Aszantki” i „Nieprzyjaciółki” wybornie udały się Szpingierowi. Potem stracił się go z oczu. Wiedziało się tylko, że Szpingier z pasją zabrał się do roboty w Paryżu. Poślizgano niebawem, że w grudniu ub. r. urządził wystawę w galerji Bernheima, i



ZYGMUNT SZPINGIER:
Typ z Montmartre'u

ze krytyka paryska przyjęła artystę z uznaniem, co więcej — z niezwykłą nawet serdecznością. Czytaliśmy o świeżości spojrzenia, o umiejętności wyboru, o wyrazistości, wdzięku i poezji. Ładnie wydany katalog paryski, z trafna przedmową Edwarda Woronieckiego, zdradził nam powód uczuciowego stosunku Paryżan do Szpingiera. Oto większość obrazów, akwreli i rysunków poświęcona była życiu Montmartre'u i chwylała nie jego cienie, ale światła, pokazywała życie artystycznej dzielnicy Paryża w blasku nie taniej sensacji, ale szczerzego, młodego entuzjazmu. Szpingier, jak możemy się teraz przekonać z poznańskiej wystawy, obrał sobie za mistrza Toulouse-Lautrec'a i jego idąc śladem zdobył się na ładne scenki z życia Montmartre'u i na ujmujące subtelnością rysunku główki kobiece. Blisko dwuletni pobyt w Paryżu szybko rozwinął jego zdolności.

Stef.

Tuwim na cześć Balmonta

Dn. 22 b. m. w czasie bankietu, wydanego przez Polski Klub Literacki na cześć Konstantego Balmonta, Julian Tuwim wygłosił następujące przemówienie: „Trudno mi oprzeć się napływowi wzruszenia w chwili, kiedy przypada mi zaszczytna rola mówcy, przemawiającego w imieniu młodego pokolenia poetów polskich do wielkiego poety rosyjskiego, Konstantego Balmonta. Wzruszenie to z kilku plynie źródeł. Pierwsze, najbliższe sercu, to wspomnienie tych dawnych dni, kiedy w szkole, podczas dokuczliwych lekcji, wchłaniałem porywające rytmy balmontowskich wierszy i przekładałem je na polskie dźwięki i rozmiary. W jakich najśmielszych marzeniach mogłem śnić o tym wieczorze dzisiejszym,



KONSTANTY BALMONT

kiedy w znakomitem gronie przedstawicieli literatury polskiej dane mi jest witać przy biesiadnym stole umiowanego poetę? Wiele z obecnych tu osób było wówczas mitem dla rozczytanego w ich dziełach ucznia — a cóż dopiero daleki pieśniarz obcego narodu! Drugie źródło wzruszenia — to sama postać Balmonta. Jeżeli jestem z nim w jednym pokoju, jeżeli mogę podejść do poety, żywą dłoń jego uściśnąć i napić się z nim winą, — to jest to, jak na owe szkolne dni, maximum szczęścia. A tu jeszcze — po piętnastu latach — okrzepi z wiekiem i namysłem podziw dla tej niezwykłej postaci.

I pierwsze słowo, jakie na myśl o nim świdła, — to: nienasycenie. Jeżeli się jednym promieniem poetyckiej myśli przesyje wspaniały szereg tysięcy strof, które wyszły z pod pióra Balmonta, jeżeli na tę myśl nanizane, zacznie się owe klejnoty przesuwać, to doznamy nie tylko oszołomienia dźwięcznością, barwnością i aromatem tych drgających stworów, ale technie na nas potężny dech nigdy niesytego widomego wspaniałości bożej człowieka. Klejbią się tam stulecia dziejów, błyskają wskrzeszone czarodziejstwem słowa umarłe kultury, pienią się wzburzone fale niespokojnych wieków, szumią tajemniczym powiewem sędziwe klechdy i legendy, kotłują żywioły, wirują konstelacje planet, słodka gęźba opowiadają nam trawy i kwiaty przedziwne sekrety swego istnienia, słowa sięgają trzew ziemi i wydierają im pulsujące w głębinach melodie — i zdawałoby się, że już do reszty wybrzmiały dźwięczne kosmiczne hymny — ale gdzie tam! Nienasycony, znów strofą następną wskoczy na świat, jak na konia, i w zachwyt poniesie go rozpad niepowstrzymany. Non satiat — zawsze czujny i nastraszony, słucha potężnej symfonji istnienia. Jest to wiecznie czynny seismograf drzeń i wstrząsów świata — od leciutkiego kołysania letniej łodygi o świcie do rozpasania burz i kółłotrogi zaświatów.

I teraz druga sprawa: wniosła namienność. Ta, o której pisał Puszkina. Odkrywca utajonych rytmów cudownej mowy rosyjskiej, Balmont jest pasjonatem tego świętego bezcelowego szaleństwa, w którym od tysięcy wieków płoną nawiedzeni łaską słowa twórcy. A choćby milion razy powtórzył słowo „słonece” — niech je po raz milionowy i pierwszy powie za chwilę — a słowo będzie jak gdyby pierwszy raz powiedziane — płomienna, życiodajna kula.

Dla tej wiary w wieczne żywe i świeże słowa, dla tej nieustępliwości w pasji dla świata, dla tej wszechogarniającej miłości, jaka z każdego wiersza jego tryska, dla nieustannego łopotu sztandaru, który niesie przed sobą od trzydziestu pięciu lat, — sztandaru poezji i tylko poezji, — wznoszę kielich na cześć naszego gościa. I niechaj w słońcu przyjaźni dwu wielkich duchów poezji polskiej i rosyjskiej — Mickiewicza i Puszkina — świeci się przyjaźń pomiędzy poezją polską i rosyjską. Obie stać na to!”

STEFAN NAPIERSKI
ODJAZD
Wiersz z lat 1923-4
CENA Zł. 3.—
Księgarnia F. Hoesicka

Wieczór poetów „Skamandra”

Dn. 24 b. m. odbył się w sali Konserwatorium Warszawskiego wieczór poetów „Skamandra”. Z wieczoru tego ukazały się następujące recenzje:

B. Ż. w nr. 113 „Kurjera Porannego”:

„Sala nabitą, temperatura wysoka, pełna oczekiwania, słowem taknienie poezji. Święta myśl, takie turnieje poetów. Ale gdy chodzi o *turniej*, to walka jest trochę na nierówną broń: wygrywa nie tylko to co kto mówi, ale jak mówi. Otóż nie każdy poeta jest dobrym recytatorem; w małej, pełnej sali, w knajpie zwłaszcza, mniej się te braki dają uczuć, mają nawet swój wdzięk; w dużej sali koncertowej szkoda nieraz utworowi i poecie. Nie powinien sam mówić swoich wierszy p. Liebert, nawet Wierzyńskiego wyznaje, że wołę w przepyszną deklamację p. Stroniskiej. Bardzo dobrze natomiast mówi Tuwim (pełnokrwisty przekład z Puszkina i subtelny „poemacik o fryzjerze”); zduszony pasją, przeźrebnym głosem Broniewskiego dobrze harmonizuje z tekstem jego silnych wierszy o bardzo zmiennej ideologii: wyróżnia pół świata na znak protestu przeciw mordercom i rzeziom. I znowu, dla odmiany, Marjusz Maszyński; „Hokus pokus” i „Rozmowa na ulicy” Tuwima — to w jego ustach arcydzieło interpretacji. Wobec obfitości materiału nie dość tłumaczy się obecność V księgi Danta, wypowiedzianej przez p. Morską; to nie jej typ. Ale i w utworach M. Pawlikowskiej bardziej mi się podobała p. Morska w zeszytym roku: ta deklamacja trochę „na niby” wykuta niedużej sali i pewnego jakby umownego nastroju.

Bardzo aktualny pieprzek wobec niedawnych polemik miał ustęp z „Pana Tadeusza” wygłoszony przez p. Maszyńskiego; nikt może wprzód nie pokazał nam tak dobitnie, jakie arcydzieła komedjowe tkwią w tym poemacie. I co za poczuć kobiety! Nie, napróżnoby kto chciał zamykać Mickiewicza w jakim „Monsalvacie”; zawsze się któryś stamtąd wymknie ten kapitalnie żywy człowiek.

Poezje przywiezione ze Wschodu wygłosił p. Baliński; p. Stonimski w spżowych rymach opowiadał, jak zmierzyl się „oko w oko” ze śmiercią na febrę w Brazylii. Ale ja mam zawsze wobec egzotykcności odcień sceptycyzmu; mimowoli zaraz sobie wyobrażam naodwrot Brazyliczyka, któryby przyjechał np. do Piotrkowa. Ładnie swoje wiersze powiedział Iwaszkiewicz, na koniec zaś p. Stroniska błysnęła nieporównanym kunsztem deklamacji, zbierając całe narzęcie okłasków dla siebie i dla tego dziecka szczęścia, Kazia Wierzyńskiego.

Obecnego na sali rosyjskiego poetę Konstantego Balmonta uczczono przekładami jego wierszy, pióra Tuwima i Broniewskiego, i serdeczną owacją publiczności.

Słowem wieczór żywy, zajmujący i rozmaity, wieczór prawdziwej poezji a nie jej liczmanów.

Prosimy częściej!”

Twos w nr. 112 „Kurjera Warszawskiego”:

„Na wieczór ten, odbyty... przy zapelnionych krzesłach i galerji, złożyły się

przeważnie znane utwory nie tylko poetów „Skamandra”, lecz i poetów innych, jak np. Mickiewicza (interpretacja Maszyńskiego), a nawet Danta (interpretacja zbyt wyrazista). Z mniej znanych poetów „Skamandra” najlepiej przypuszczalnie (złe było słychać) rytmiczny i falujący Jerzy Liebert; tłumaczenie zaś tuwimowskie fragmentu puszkiniowskiego „Jeźdźca miedzianego” rywalizuje wprost z oryginałem o lepsze. Broniewski czasem jeszcze ujmuje odwieczne, rewolucyjne uczucia w formy z przed pół wieku, a choć w „Zwycięstwie” i w „Nile” osiąga wielkie prawdziwe wrażenie — winien z innymi wraz przyznać, że „Manchester — orkiestra” jest dobre, jak i „Odejsz — młodość”, ale „Piersi — Perji” i „Kłesk — lek” i t. p. brzmi gorzej, na co ani patos, ani polyanie — nie pomagają.

Wieczór wczorajszy był miłą rozrywką dla smakoszy literackiego stylu, stęsknionych do tego rodzaju rzadkich okazji. Zapowiadał J. Iwaszkiewicz.”

I. P. w nr. 112 „Warszawianki”:

„...słyszeliśmy kilka rzeczy istotnie bardzo, bardzo ładnych. Wiersz Wierzyńskiego „Wszystko mi jedno”, deklamowany przez Marjusz Maszyńskiego, jest... nie umiem znaleźć inego określenia... poprostu uroczy. Jakież w tym wierszu pierwsze tchnienie wiosny, jasnej, ciepłej, młodej, które rozsadza serce ludzkie, które szczęściem prostym, szczerem, bez troskiem, dobrem i radosnem. Pewien zgryzł w zestawieniu z tym wierszem brzmiał w urykach „Pieśni o wojnie domowej” Broniewskiego. Trudno się o przeć refleksjom. Czy nie dosyć tej pieśni w naszym życiu? jeszcze te strone życia wnoszą w pieśń? Dzień zapłaty i krew i gniew, i jeszcze krew... Poeta w którymś miejscu sam ma tego dosyć i obiecuje zaśpiewać kiedyś, potem coś pogodnego, jasnego. Słaba pociecha dla tych, którzyby dziś padli ofiarą tej swojej Tyreusowej pobudki...”

Przekład Tuwima poematu Puszkina „Jeździec miedziany” jest w całym tego słowa znaczeniu pierwszorzędnym. Treść, nastrój, forma nawet, nawet sam rytm oryginalny oddany znakomicie. Poemat o „fryzjerze” tegoż autora oryginalny, ciekawy. Jest wniknięcie w życie szarych, małych ludzi, z pewnym sympatycznym, pobłażliwym uśmiechem.

Baliński odczytał fragmenty z poetyckiego opisu podróży swej na Wschód, a Stonimski z poematu, osnutego na tle wspomnień poety z Brazylii.

Maszyński, prócz paru utworów poetów „Skamandra”, odczytywał pysznie dialog Tadeusza z Telimeną z „Pana Tadeusza” Mickiewicza, który w ten sposób znalazł się na gościnnym występie wśród skamandrytów.

Był obecny na wieczorze także p. Konstanty Balmont. Dwa wiersze rosyjskiego poetę w przekładach Tuwima i Wierzyńskiego odczytywała p. Stroniska, recytatorka doskonała.

Szkoda, że p. Wierzyński swoje słizne wiersze o Rzymie czytał sam, zamiast je powierzyć p. Stroniskiej, czytał je bowiem trochę monotoniem. Tę samą uwagę można zrobić pod adresem p. Lieberta.”

ANEGDOTY

Chamfortowi podano w pewnym domu do kolacji znakomite wino. Przyjął je z zupełną obojętnością. Obrażony gospodarz kazał do następnego dania przynieść wino najwykiszsze.

— Dobre wino — odzywa się Chamfort. — To wino kosztuje dziesięć sous, gdy poprzednie było bezcenne.

— Wiem o tem. Dlatego właśnie nie pochwalilem go. Ale to potrzebuje pochwały.

Lamartine przyjmował w r. 1848 delegację kobiet. Był tak czarującym uprzejmy, że jedna z kobiet, o prawie męskim zaroiście na twarzy, prosiła poetę o pozwolenie uściśnięcia go. Lamartine nie stracił konfensu, cofnął się o krok i zawołał:

— Obywatelko, pomiędzy mężczyznąmi podaje się sobie tylko rękę!

Guizot powiedział o pewnym jegomości, który starał się o fotel w Akademji:

— Będę za nim głosował. Nadaje się do Akademji. Po pierwsze dobrze wygląda, po drugie jest bardzo grzeczny, po trzecie ma order, po czwarte nie posiada własnego zdania. Wprawdzie pisze także... ale nikt nie jest doskonały.

Anatol France przyjmował często młodych pisarzy. Pewnego razu zjawia się u niego początkujący poeta.

— Mistrzu, czy czytałeś moje wiersze?

— Naturalnie. Czytałem całą noc. Zaczęłem czytać wieczorem i nie mogłem się od nich oderwać.

— Mistrzu, żartujesz sobie ze mnie. Chcesz dowodu? Powiem ci, jakie jest najpiękniejsze miejsce w twojej książce. Znajduje się ono na stronie 84. To przepyszny wiersz. Czy mi jeszcze nie wierzysz?

— Wybacz, mistrzu. Jestem zawsty-

dzony. Dziękuję, serdecznie dziękuję. Dialog toczył się w towarzystwie. Po odejściu poetę ktoś odzywa się do Anatola France:

— Mistrzu, nie czytałeś tej książki. Znam ją. Mogłeś przeczytać najwyżej dwie strony.

— Rzeczywiście, nie czytałem.

— Ale skąd wiesz w takim razie, że stronica 84 jest najlepsza?

— To bardzo proste. Wcale tego nie wiem. Mogłem wymienić każdą inną. Ale ponieważ każdy poeta myśli, że każdy z jego wierszy jest najlepszy, nie można nigdy się pomylić.

— A gdyby stronica 84 była akurat niezadrukowana?

— To byłaby katastrofa. Ale kiedy popełnia się kłamstwo w imię dobrego celu, można zawsze liczyć na pomoc niebios...

Humanista Kästner spotyka w Paryżu swego dawnego nauczyciela języka francuskiego w wielkiej rozpacz.

— Czterdzieści lat — woła — uczylem w Lipsku francuskiego, aby dowiedzieć się w końcu w Paryżu, że język, który wykładałem, nie był wcale francuski...

— Pociesz się, — rzecze Kästner, — wielu teologom to samo wydarza się w niebie.

Denneri zawołał po drugim akcie „Afrykanki”:

— To jest banalne, bezduszne, i ja potrafię taką rzecz napisać.

Do fotografa na rue de Rivoli przychodzi Amerykanin.

— Czy posiada pan fotografię „Giondy”?

— Naturalnie.

Amerykanin ogląda fotografię i do-
rzuca:

— Czy nie ma pan troszkę bardziej z profilu...

„Biblioteka Słowiańska”

W najbliższych dniach ukaze się w nakładzie F. Hoesicka t. I „Biblioteki Słowiańskiej” w przekładach Stanisława Alberti. Tłumacz poprzedził go słowem wstępem, z którego dajemy poniższy fragment:

„My — ze słowiańskich ludów jeden z najpotężniejszych — oddzielił się od innych Słowian murem obojętności. Nie znamy ich.

Wiemy o nich tak mało!

Przez kordon tej nieznajomości rzadko się przede jakieś słowo z bratniej Słowiańszczyzny idące.

Gdy w Czechosłowacji specjalne katalogi przekładów z literatury polskiej wykazują kilkadziesiąt tomów, gdy Jugosławia i Bułgaria mają szeregi ludzi oddanych całej duszą propagandzie kultury polskiej, nasz przekładowy dorobek w dziale wszystkich literatur słowiańskich — wyjąwszy literaturę rosyjską — ujawnia za ledwie kilkanaście pozycji.

Kilkudziesięciotomowy wybór przekładów z literatury czesko-słowackiej, jugosłowiańskiej i bułgarskiej, oraz historia tych literatur — to plan mojej „Biblioteki Słowiańskiej”.

Nie dorywczo, nie posmak literackiego nowinkarstwa, ale jednolity zbiór, z którego wyłonić się powinien możliwie pełny obraz słowiańskiej kultury.

I choćby się czasem zdawać mogło, że z literackiego punktu widzenia zbyt czysty był jakiś tom — to nie w tem rzecz.

Nieraz nie w słowach, dźwięczących pustą muzyką frazów, — ale w prostocie

życie duch.

„Biblioteka Słowiańska” objąć zamierzam nie tylko prozę, ale również poezję i dramaty, aby w ten sposób dać możliwie pełną całość.

Zapoczątkowałem pracę moją od literatury czesko-słowackiej, z której ukaze się w bieżącym roku przygotowanych już kilkanaście tomów.

Każdy tom poprzedzi obszerny wstęp, charakteryzujący twórczość danego autora.”

Korespondencja

JESZCZE WYWIAD Z TUWIMEM

Do redaktora „Wiadomości Literackich”

Z powodu notatki redakcji „Gazety Literackiej”, zamieszczonej w nr. 29, i listu p. Witolda Zechentera, zamieszczonego w nr. 172 „Wiadomości Literackich”, kategorycznie oświadczam, że:

1) Wywiad mój z p. Julianem Tuwimem, pierwotnie przy świadku złożony w „Gazecie Literackiej”, na ręce redaktora p. Witolda Zechentera, został przeze mnie pierwotnie skwapliwie i definitywnie przyjęty do druku.

W kilka dni jednak później byłem zmuszony rzeczony wywiad kategorycznie wycofać z redakcji „Gazety Literackiej” z powodu niespodziewanego oświadczenia p. Witolda Zechentera, że nie może na własne ryzyko (?) drukować wywiadu z Tuwimem wobec urogości stanowiska naczelnego redaktora „Gazety Literackiej”, p. Jerzego Brauna, względem „Skamandra”, „Wiadomości Literackich” i niektórych poetów stojących w pobliżu tych wydawnictw.

Wobec takiego stanu rzeczy, stwierdziwszy nieuczciwość i skandaliczną nieojalność „Gazety Literackiej”, definitywnie wywiad wycofałem (jak już wtedy zaznaczyłem).

2) Z p. Julianem Tuwimem nie rozmawiałem w imieniu „Gazety Literackiej” lecz w trakcie mojej z nim rozmowy wspominałem, że sprawozdanie z naszej pogawędki złożę w redakcji „Gazety Literackiej” — nie spodziewając się, że redakcja „Gazety Literackiej” zajmie wiadome, nieaktowne stanowisko względem osoby wielkiego poety.

3) Kłamstwem jest, jakobym prosił natarczywie (?) (kogo?) o zamieszczenie wywiadu w „Gazecie Literackiej” gdyż wywiad ten pierwotnie został skwapliwie zaaprobowany i przyjęty do druku przez p. Witolda Zechentera.

Dla udowodnienia prawdziwości powyższych słów moich i celem przegłoszenia bezmyślnych bredni redakcji „Gazety Literackiej”, wykręcającej się niegrzecznie z tej niemilej dla niej afery, przytoczę oświadczenie tejże redakcji z notatki p. n. „Arogant” (dosłownie prawie powtórzone przez p. Zechentera w liście do „Wiadomości Literackich”): „Wywiad zamieściłmy na natarczywą prośbę p. Brandstaettera”; natomiast kilka zdań niżej oświadcza redakcja „Gazety Literackiej”: „Nic dziwnego, że wywiad z tak doskonałym poetą jak Julian Tuwim zamieściłmy chętnie (?)”. Smutne, perfidne logikactwo.

4) Wierutnem kłamstwem jest, jakoby redakcja „Gazety Literackiej” uprzedziła mnie, że pełne moje imię i nazwisko, położone pod rękopisem wywiadu, zastąpi „prawdopodobnie” w druku inicjałami.

Co oznacza „prawdopodobnie”? Ze „względów natury redakcyjnej”? Niefortunny wykręt!

Równocześnie pro domo sua oświadczam, że prawdą jest, iż nigdy nie współpracowałem w redakcji „Gazety Literackiej”. Mogę ją pocieszyć, iż nigdy również nie będę w niej współpracował.

Sądze, że jasno i dostatecznie wytłumaczyłem stanowisko moje w całej tej „literackiej” aferze, wobec tego oświadczam, że więcej w tej sprawie głosu nie zabiorę.

Roman Brandstaetter (Kraków).

Tydzień bibliograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: H. Altenberg, M. Arci, „Biblioteka Polska”, Ludwik Chomiński, Wacław Czarski i S-ka, „Czytaj”, Gebethner i Wolff, F. Hoesick, W. Jakowicki, Krakowska Spółka Wydawnicza, Książnica-Atlas, Jakób Morikowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Polonicki, „Renaissance”, Trzaska, Evert i Michalski, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy.

POWIEŚĆ, NOWELA

Juliusz Kaden-Bandrowski. Europa zbiera siano. Ilustrował Tadeusz Gronowski. Lwów, Zakład Narod. im. Ossolińskich, (1927); str. 248 i 2nl. i tabl. 5. Zł. 4.60. — Tom obejmuje następujące utwory: „My dwaj”, „Z nad tych grozku”, „Wolność w zupie rakowej”, „Nigdzie”, „Uśmiech handlu”, „Wizyta w Weimarze”, „Stare, dobre przysłowie”, „Brak wyształcenia”, „Hrabiowie”, „Pieśniadze i głos, czyli wielkość i kielbasa”, „Biedronka”, „Nad Renem jest pięknie”, „Markietanka i jej brat garbaty”, „Nie ma cię jeszcze”, „Jedno ich trapi zmartwienie”, „Verdun — posterunek numer 51!”, „Ważne — najważniejsze!”, „Spotkanie na bulwarach w kawiarni”, „Rozumowi świata”, „Słuchaj — to ja”, „Artyści i karp”, „Gwiazda”, „Senator i dziewczyna, czyli Hoffman Girls”, „Port w Boulogne sur mer”, „Kiedy wrócisz?”, „British Museum”, „Nasza wieczność”, „W Szwajcarii”, „Europa zbiera siano”, „Radość mnie pogania”.

Biblioteka Beletrysyczna Towarzystwa Wydawniczego. Rok pierwszy. Książka VIII. Redaktor J. Morikowicz. Karol Dickens. Dawid Copperfield. Powieść. Przekład Kar. Beyl. Tom I. Warszawa, J. Morikowicz, 1927; str. 4nl. i 169 i 3nl. Zł. 2. — Miłośnicy Dickensa z radością powitają nowe pełne wydanie jego arcydzieła.

Bronisław Iwanowski. Serce gramofonu. Montaż. Okładka i rysunki Tadeusza Gronowskiego. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 55 i 1nl. Zł. 3.50 — Poezje proza.

Biblioteka Słowiańska w przekładach Stanisława Alberti. Tom I. Alojzy Jirasek. Historia filozofów. Przekład z dziesiątego wydania. Wstęp prof. dr. Boh. Vydry. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. XVI i 216 i 4nl. Zł. 6. — Plan „Biblioteki” — to kilkadziesięciotomowy wybór przekładów z literatury: czesko-słowackiej, jugosłowiańskiej i bułgarskiej, oraz historia tych literatur. „Biblioteka” objąć ma nie tylko prozę, ale również poezję i dramaty. Na plan pierwszy idzie literatura czesko-słowacka. Każdy tom poprzedzać będzie obszerny wstęp charakteryzujący twórczość danego autora.

Nasza Biblioteka, Nr. 12. Klemens Junosza (Słaniański). Opracował dr. Zdzisław Żygulski. Muzykanci. Łączarz. Lwów, Zakład Narod. im. Ossolińskich, 1926; str. 6nl. i 48 i 2nl. Zł. 1. — Dwie perły nowelistyki polskiej.

Tadeusz Łopalewski. Podwójny cień. Powieść. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 184. Zł. 4.50. — Debüt powieściopiskarski utalentowanego krytyka wileńskiego.

Stanisław Ignacy Witkiewicz. Pożegnania jesieni. Powieść. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 449 i 3nl. Zł. 10. — Przedmowę do powieści drukowaliśmy w nr. 172 „Wiadomości Literackich”. Powieść jest dedykowana Zofji i Tadeuszowi Żeleńskim.

POEZJA

Stefan Napierski. Odjazd. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 79 i 5nl. Zł. 3. — Tom obejmuje wiersze wyłącznie z lat 1923 — 24.

FILOZOFJA, NAUKA JEZYKÓW

Mathowski - Borkowska. Słownik encyklopedyczny francusko-polski i polsko-francuski. Część pierwsza francusko-polska. Zeszyt 2. Alacrité — Artisan. Zeszyt 3. Artiste — Biconcave. Zeszyt 4. Biconcave — Campos. Zeszyt 5. Camus — Chandel. Zeszyt 6. Clairement — Cornettiste. Lwów, B. Polonicki, 1927; str. 33 — 192. Zł. 2. za zeszyt. — Słownik składać się będzie z dwóch tomów, po 50 arkuszy każdy.

HISTORIA, PAMIĘTNIKI, POLITYKA

Stanisław Grabski. Kryzys myśli państwowej. Lwów, B. Polonicki, 1927; str. 174 i 2nl. Zł. 5. — W tej programowej książce wybitny uczony i polityk wykazuje głębsze przyczyny zjawisk politycznych doby obecnej i związek ich z ogólnym rozwojem zagadnień społecznych w świecie.

Największa hurtownia księgarska
W POLSCE
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Sp. Akc.
WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
KURJER KSIĘGARSKI